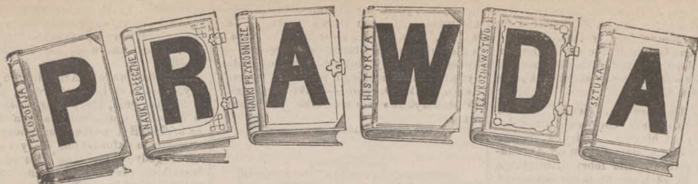
Nr. 37. Warszawa, dnia 2 (14) Września 1895 r. Rok XV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2. rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szanow. abonentów kwartalnych prosimy o nadesłanie przedpłaty.

POLITYKA.

TURCYA I ANGLIA.

Surowe napomnienie padyszacha przez Salisbury'ego podczas rozpraw Izby lordów nad adresem, w początkach sierpnia — okazało się wiatrem wiejącym w polu. Padyszach, zamiast dać armeńczykom jak najwięcej i jak najprędzej, przy pomocy swych wezyrów i ministrów postarał się nie dać nic; odebrał nawet napowrót to, co dał był już dawniej, przed zmianą wezyratu. W obecnej chwili dyplomacya angielska, sięgając po ustępstwa, łapie samo tylko powietrze. Turcya chowa się za Szakira baszę, nadzwyczajnego niby inspektora Armenii, chowa się za swoje prawo udzielności i honoru międzynarodowego, chowa za plecy dyplomacyi, jawnie współdziałającej z angielską, a potajemnie kopiącej pod nią dołki. Komedya z Szakirem jest płaskim konceptem: inspektor wyjeżdża bez instrukcyj i ma je otrzymać dopiero w Trapezuncie, jak gdyby nie mógł zaczekać na nie w Stambule, jak gdyby zaczekać nie był powinien dla dobra samych instrukcyj i przejęcia się ich duchem. Wypchnięto go czemprędzej, aby się nie zdradził z kłamstwem.

Punkt honoru państwa niepodległego, wysuwany przez padyszacha, łudzącego się jeszcze cieniem samodzielności — dobrym jest tylko dla umysłów płytkich. Żaden człowiek rozsądny po przeczytaniu art. LXI go traktatu berlińskiego wątpić nie będzie, że Turcya, zgadzając się na wprowadzenie reform do Armenii pod naciskiem Europy, zrzekła się już wtedy *ipso facto* i tego źdźbła godności swojej, którego sułtan dziś dopiero tak uporczywie broni, kiedy go już nie ma. W logicznym też porządku artykuł powyższy przynosi Europie, na traktacie podpisanej, prawo wglądania w to, jak Turcya przyjęte na siebie zobowiązanie wykonywa, a jeżeli je lekceważy, to — prawo wskazywania dróg, środków i sposobów, w danej chwili za najstosowniejsze uważanych. Wszystko to ogranicza ową samodzielność, którą Salisbury słusznie nazwał tylko „ułudną." Czego tu więc jeszcze dzisiaj bronić? I czy nie lepszem zabezpieczeniem honoru byłoby oddanie się zupełne instynktowi zachowawczemu, nakazującemu starać się o jak największy porządek i siłę wewnątrz, a na zewnątrz unikanie starć i zgodę ze wszystkimi, zwłaszcza z Anglią, która bądź co bądź na upadku Turcyi stosunkowo najmniej zarobić będzie mogła?

Od trzech tygodni już trzymają anglicy swą flotę Lewantu w przystaniach wyspy Mitylene, ale trzy te tygodnie nie wystarczyły na zatrwożenie *the unspeakable Turck*'a—z takiej odległości. Od tygodnia przebąkują dzienniki o posunięciu okrętów znacznie bliżej, o kilka mil już od południowego wejścia do Dardanellów, do historycznej zatoki Besika — nawprost wyspy Tenedos. I ta groźba, choć dopiero dziennikarska, jakoś nie wywiera skutku; turek nawet stawia się ostro i na pogróżki, dawniejsze i nowe odpowiada uzbrajaniem Dardanellów. Takiego animuszu pojąć niepodobna bez zachęty z zewnątrz do oporu. Sforsowanie przejścia, pod względem wojennym bardzo trudne, pod politycznym byłoby gromem, rozpoczynającym burzę: nie odważy się na nie Anglia, ale gdyby się raz odważyła, turcy nie ośmieliliby się bronić od napaści. Dziś sama groźba zjawienia się anglików w Dardanellach nie zdoła przerazić Turcyi, która w czyn nie wierzy. Gdzie więc środek na okiełzanie padyszacha? Jeśli go nie wynajdą sami armeńczycy, wynajdzie kto inny.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ani na krok nie postąpiła sprawa armeńska. Turcya to zgadza się, to odmawia, daje i odbiera; żadne jej słowo nie jest ostatniem, coraz coś nowego. Dyplomacya angielska grozi demonstracyą floty. Dzienniki zapowiadają posunięcie się jej aż do zatoki Besika. O demonstracyi wspólnej niema mowy. We współdziałaniu więcej jest paraliżu, niż pomocy.

Parlament angielski d. 6 b. m. ukończył letnie swe posiedzenia i odroczył się do 18 listopada. Do tego czasu bawić się będzie polowaniem — zwłaszcza Izba wyższa.

We Francyi rozpoczął się proces tych trzech łotrów z kolei południowej Reinacha, którzy za granicę nie uciekli. Namyślił się wreszcie prokurator i wytoczył proces samemu Magnier'owi (nie „Magnin"), który musi być już za dziesiątą wodą. Przed sądem stają Martin, dyrektor, André i Babin.

Wielkie manewry francuskie na wschodzie, pomiędzy Langres, Mirecours, Belfort i Besançon opierają się na przypuszczeniu najazdu niemieckiego od Nancy: pobicie sztucznych niemców sprawiłoby narodowi przyjemność. Wyniki walk pozornych, zwłaszcza wielkiej bitwy około Monts Faucilles, wiadome będą dopiero za kilka dni. Taktycznie najważniejsze jest sprawienie się wojsk w samych górach, najeżonych wielu dla żołnierza przeszkodami. Prezydent Faure wraz z generałem Dragomirowem i przedstawicielami wojskowymi Europy znajduje się na manewrach.

D. 5 b. m. w Paryżu w domu Rotschilda przy ulicy Lafitte, ujęto człowieka, który chciał w dziedzińcu podrzucić bombę z puszki od czekolady, wypełnioną proszkiem z chloranu potażu. Ogromną, europejską zrobiono z tego sprawę. Policya podejrzewa, że sprawca, wskutek interwencyi popioła od papierosa niedoszły, jest tożsamym z autorem piorunującego listu, który

okaleczył przed miesiącem sekretarza rotszyldowskiego, Jodkowicza. Bombiarz nazywa się Bouteilbe, ma lat 27, kształcił się w szkole przemysłowej w Châlons s. M., służył w zarządzie rotszyldowskiej Chemin de fer du Nord, stamtąd wydalony, poszedł na ochotnika do Algeryi, skąd nakoniec znalazł się w Paryżu.

Generał Duchesne nie wątpi ani na chwilę o powodzeniu, choć czas przed deszczami szybko biegnie, Andryba jeszcze o 150—160 kilom. odległa jest od Antananarywo, a żółte i zgniłe febry dziesiątkują żołnierza. D. 14 b. m. obiecuje wyruszyć dalej na południe, z pięciomiesięcznemi zapasami żywności dla 3,000 wojska. O howajach nic nie słychać. Może zdołają wpaść francuzom na tyły.

Z Kuby wiadomości dla powstańców coraz pomyślniejsze: z Ameryki płyną wciąż posiłki w ludziach, pieniądzach, broni i amunicyi; ludność oswaja się z powstaniem, kto nie walczy, ten współczuje; stronnictwo autonomistyczne się wzmaga; świeżo pod Ramonjaguas odnieśli powstańcy przewagę nad wojskami rządowemi. Nowa rzeczpospolita ma już rząd zorganizowany, ma stolicę w jakiejś wiosce we wschodniej części wyspy, głównej widowni ruchu; w stolicy tej zebrał się nawet już sejm z trzech prowincyj: Santiago de Cuba, Santa Clara i Puerto Principe; uradził i uchwalił, co było potrzeba. Powstańców ma być już 23,000. Rząd wysłał dotychczas przeszło 30,000, a na listopad zapowiada wysłanie 25-u.

Cesarz Wilhelm na manewrach pod Szczecinem, także naśladujących wojnę, miał widzów niezwykłych: cesarza austryackiego i króla saskiego, prócz wielu jeszcze książąt niemieckich. Franciszek Józef w piątek miał już być z powrotem w Wiedniu.

W Austryi najważniejszem jest wytworzenie nowego gabinetu — stałego a nie parlamentarnego. Hr. Badeni ma po powrocie cesarza do Wiednia rozpocząć narady ze wszystkimi namiestnikami, umyślnie wezwanymi, i dokończyć rozpoczętych już pierwej rokowań z przyszłymi swymi współpracownikami—a w ich liczbie jest jakoby i Thun, namiestnik w Czechach. Gabinet ma być zachowawczym, ale bez niedźwiedziej łapy zachowawczości. Za dwa tygodnie budowa ma już stanąć, zupełnie wykończona. Namiestnikiem Galicyi będzie, jeżeli nie Dunajewski, to Marchwiński, jeżeli nie Marchwiński, to Jaworski, jeżeli nie Jaworski — to może... a czemuby nie p. Stanisław Estreicher — świeżo upieczony doktor i profesor historyi prawa niemieckiego, po takim poprzedniku, jak Dargun — taki następca!.. W stańczykowatwie wszystko jest możliwem.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Mattew Arnold, *Poems 3 vol.*

„Demokrata arystokratyczny,“ określenie pełne sprzeczności, które życie, nie liczące się z wymaganiami logiki, wciąż ujawniało w poetach naszego stulecia, głównie jednak w Shelleyu, może także być zastosowane do Arnolda. Jest to sprzeczność, wynikająca z różnicy smaków i przekonań. Klasyczny formą, humanitarny duchem, taki był Arnold i tem przypomina znowu Shelleya, nie znajdujemy w nim tylko Shelleyowskiego panteizmu.

Aby dojść do głębokiego odczuwania i rozumienia natury, trzeba żyć gdziekolwiek w samotni alpejskiej, gdzie serce zamiera dla wszystkiego, co ziemskie i chłód od gorejących na zachodzie lodowców przenika tchnieniem światów astralnych. O niczem nie myśleć i niczego nie chcieć, tylko kochać przyrodę, rozmawiać z nią, chwytać jej przemiany, pogrążać się do zupełnego zapomnienia w olbrzymie jej piękno. Taką jest niezbędna dyscyplina duchowa poety. Nasz wiek przemysłowy nie jest odpowiedni ku temu. Taki Arnold spędził całe swe życie w mieście.

Weźcie las i miasto. Gdzie jest sens i głębia, a gdzie banalność? Czyż wszystkie interesy, myśli i ideały miasta mogą nawet być porównane z wielkością lasu, z powagą jego tajemnicy, z pięknem jego żywiołowego smutku?

Nasz umysł rozkłada piękno świata na sylogizmy. Tylko wielcy poeci umieją wyrzec się logiki, aby podsłuchać niewyraźne szepty przyrody i poznać tajemnicę żywiołów. Tacy nazywają się Beethoven lub Shelley.

Nic podobnego u Arnolda nie znajdujemy. Jest to stylista wzorowy, zakochany w klasycyzmie, który poczyną zajmował się w części z upodobania, a poniekąd także *ex officio*. Był profesorem „poezyi“ na uniwersytecie oxfordzkim. W tym celu napisał tragedyę klasyczną „Merope“ według wszelkich prawideł; pomimo to jest ona całkiem chybiona. Niektórzy uważają M. Arnolda za największego poetę współczesnej Anglii. Jest on tylko najbardziej prawidłowym. Jego osoby poetyckie, to galerye marmurów greckich, nawet w „Merope,“ tym grzechu młodości.

„Balder Dead“ jest głównem dziełem poetyckiem M. Arnolda, epopeą, zapożyczoną z mitologii skandynawskiej. Ukochany przez bogów Walhalli, Balder został przez nich omyłką, niechcący zabity na igrzyskach. Sprawiają mu z tego powodu wspaniały pogrzeb. „Bogowie zgromadzili się na brzegu morza i radzili, otoczywszy kołem ciało Baldera; trzykrotnie utworzyli pochód żałobny na jego cześć. Łzy płynęły po zbrojach i wsiąkały w piasek. Ponieśli następnie wielkie sosny na statek, utworzyli olbrzymi stos i położyli na nim trupa bohatera. Ściągnąwszy żagle, zbliżyli do stosu pochodnię smolistą. Thor pchnął potężnem swom ramieniem statek żałobny, tak iż popłynął w głębokiej brzdzie, którą zostawił po sobie na piasku. Posypały się iskry; woda się wzburzyła; statek zakołysał się na falach. Tymczasem wiatr wschodni zstąpił ze świstem ku morzu. Naprzód drobne powiewy marszczyły oblicze wód; następnie silny wicher napełnił żagle, ożywił ogień i pchnął statek na szerokie morze. Wkrótce stos zapłonął cały; języki ogniste ostre i gryzące wznosiły się przy łoskocie pękających gałęzi coraz wyżej i wyżej, zaczęły lizać szczyt stosu, ciało martwe, maszty i drżące żagle. Lecz statek płynął wciąż naprzód. Zewsząd czerwony, jak kula ognista, żeglował bez ustanku. I bogowie, nieruchomi na brzegu, nie odrywali odeń oczu. Tymczasem słońce bladawe schodziło na morze, otoczone dymem i noc się zbliżała. Mroki zapanowały wkrótce nad ziemią i morzem; wiatry spadły; wszystko stało się cichą

---

16)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Widok 24.

Dziesięć dni i nocy Arjos przebył już na tem wzgórzu, wokoło którego zatoczyło się olbrzymie zbiorowisko ludzkie, rozłożone częścią w namiotach, częścią na otwartem powietrzu. Zajrzał on we wszystkie dusze, uleczył wszystkie cierpienia, ukoił wszystkie rozpacze, rozdzielając zarówno chleb, jak pociechę. I dzień dzisiejszy, jak każdy, rzesza rozpoczęła głośną modlitwą poranną:

Stwórco świata, boże miłości, daj nam dzieciom twoim rozum jasny i serce czułe dla ukochania wszędzie i zawsze świętej woli ojca naszego. Błądzących skieruj ku prawdzie swą mocą, grzeszącym przebacz winy dobrocią i spraw, ażebyśmy wszyscy byli niezmiennie tobie wdzięczni a siebie miłujący.

Podczas tej modlitwy przybiegł od stolicy Tarlon, który zwrócił się do Orli.

Tarlon.

Nieszczęście do nas idzie.

Orla.

Jakie?

Tarlon.

Przyjechali do Protoryi mąż i brat pani.

Orla.

To jeszcze, mój przyjacielu, nie nieszczęście.

Tarlon.

Oskarżyli Arjosa o to, że wzburzył niewolników, że uprowadził panią... Przybyli również inni obywatele i domagają się, ażeby go uwięziono. W mieście ruch nadzwyczajny, zwołują wojsko... Już nie kupowałem owoców, tylko pospieszyłem do pani co prędzej.

Orla.

Usuniemy się z oczu złym ludziom.

Tarlon.

Pani najdroższa, usuńmy się co prędzej,

Orla zbliżyła się do Arjosa, który klęcząc trzymał na rękach drgającą w konwulsyach kobietę.

Orla.

Arjosie, tu ma wkrótce przyjść wojsko...

Arjos.

Bóg uraduje się, gdy zobaczy rzeszę większą.

Orla.

Ale ono ma nas rozpędzić...

Arjos.

Więc rozproszy was na wasze strony, jako wiatr garść nasienia, które w różnych miejscach wzejdzie, dojrzeje, zapłeni ziemię całą i odda ją Elionowi.

Orla.

Ludzie nienawistni ci wnieśli skargę do władz, że buntujesz niewolników.

Arjos.

Nie wnieśli jej jednak do boga. Tego tylko strzedz się należy.

Orla.

Czyż mało jeszcze niebezpieczeństwa, że możesz być uwięzionym?

Arjos.

Orlo, Orlo, albożistnieje jakiekolwiek niebezpieczeństwo wobec wszechmocy boga, któremu żadna siła nie odbierze i nie zniszczy nawet jednej drobiny jego stworzenia? Człowiek w największej swej potędze zdoła zaledwie zabić prędzej to, co samo umrze później, a bóg w rachunku swoim odnajdzie zawsze wszystko, co miał i nic mu nie zbraknie.

i spokojem. Lecz bogowie nie odchodzili od brzegu; spoglądali wciąż na statek, który płynął coraz dalej i dalej, jak oko ogniste na wodach. Daleki pożar stawał się jednak coraz słabszym Ciało było spalone; popioły gasiły ognisko i jak w naszych ogniach zimowych poruszenie gorejącej głowni wzbudza deszcz iskier, z takim deszczem iskier stos pogrążył się w morze szumiące i zapanowały mroki bez końca."

Ten opis pogrzebu uważany jest zwykle za jednę z ozdób literatury angielskiej i przytaczany jako wzór doskonałości języka i formy poetyckiej.

Szkice Arnolda są czterech rodzajów: polityczne, filozoficzne, religijne i literackie. We wszystkich występuje głównie jako moralista. Rozbiera kwestye społeczne nie przy świetle nauki, lecz wiary. Huxley słusznie powiedział o nim, iż wszystko, co napisał, jest „kazaniem świeckiem." Nie utworzył ani oryginalnego systemu etyki, ani też planu reformy socyalnej. Zewsząd wybrał idee „najlepsze, najszlachetniejsze, najwznioślejsze" — one zawsze mają na widoku polepszenie warunków mas drogą kultury. Co pod nią rozumie — wyjaśniał przez życie całe, dość sprzecznie, ale najwięźlej w szkicu „Kultura i anarchia." Epoki szczęśliwe w życiu narodów — powiada — są te, gdy kwitnie literatura, gdy żyją myślą, pięknem, nie zaś dążeniem do potęgi wojennej lub bogactwa materyalnego.

Lecz M. Arnoldowi nie wystarcza życie myślą i pięknem, jakie widzimy w chwili obecnej. Są i byli zawsze ludzie, którzy wybierają sobie te dziedziny jako specyalność lub rozrywkę. Nie na tem wszakże polega „prawdziwa kultura." Ona wymaga, „abyśmy się wyzwolili od wszelkiej idei klasy lub sekty, abyśmy uprzytomnili w umyśle wszystkich wszystko, co było najlepszego w świecie od początków jego istnienia, aby wszyscy żyli w atmosferze światła i dobroci, aby przyzwyczaili się do swobodnego posługiwania się ideami, nie będąc przez nie związani."

Kultura dziejowa i moralna wszystkich— oto prawdziwy ideał społeczny. Ona niszczy nienawiść, daje zamiłowanie światła i przyzwyczajenie dobroci; każe zrozumieć, iż nie umiemy być szczęśliwi, dopóki wszyscy wraz z nami nie dopięli szczęścia, nie stali się doskonałymi. Człowiek lub klasa, zajęci tylko własnymi interesami, są na złej drodze. Szczęście drobnej garstki nie jest możliwe, jeżeli większość go nie podziela. A więc dążmy do dobrobytu ogólnego. Ale, rozumie się, autor każe dążyć do tego celu nie drogą socyalizmu, ani nauki, lecz dobroci i współczucia.

O ile są błahe te domowe środki i środeczki, wierzące w najlepszym razie, iż kwestya społeczna rozstrzygnięta być może „zapewnieniem wszystkim jednakowych warunków," — pokaże wam drobny przykład.

Przedstawmy sobie pole zasiane głogiem, łopianem, kąkolem, śród których gdzie niegdzie sterczy kłos zboża i przypuśćmy, że jakiś waryat rolnik zapewnił wszystkim tym roślinom, i dobrym i złym, jednakowe warunki pod względem światła ciepła, nawozu itd. Pytanie, kto kogo wytrawi, zagłuszy, nie może pozostawiać żadnej wątpliwości.

Ideały demokratyczne, pojęte nazbyt prosto i jednostronnie, mogą w społeczeństwie doprowadzić do takich samych skutków. Można odpowiedzieć, iż obecnie jednostki zdolne dzięki złym warunkom często giną, tam natomiast, w przyszłem społeczeństwie, gdy wszyscy będą mieli jednakowo zapewniony byt, zdolniejsze łatwiej i liczniej wysunąć się potrafią. Alež o to właśnie chodzi, czy wówczas będzie już komu „wysuwać się"; czy złe warunki obecnego pożycia i dobro przyszłego, nie doprowadzą nareszcie do stanu, gdzie na kształt wyżej przedstawionego pola, lepszej rośliny na lekarstwo dostać nie będzie można. W całej tej sprawie spuszczamy zwykle z uwagi, że tak powiem, dynamikę rzeczywistego rozwoju, mając na widoku tylko wzgląd ludzkości.

Drobny ten przykład pokazuje nam całą złożoność kwestyi społecznej, która teraz powinna już być rozpatrywana w sposób czysto naturalny, gdyż stanowczo uchyla się od środków retoryki literackiej.

Co się tyczy owej „istotnej kultury," to kto wie, czy my z naszemi betami, bezpieczeństwem i dobrocią, nie zamienimy się z czasem w pęcherzyki tłuszczu, rozstawione w porządku po szczobelkach wylęgalni społecznej.

Stanowczo żywiołowa natura człowieka jest szerszą nieskończenie od ideałów i idealików tej lub owej epoki. Zresztą w swych poglądach społecznych Arnold nie przedstawia nic stałego: zupełnie jak Renan, którego zresztą pod wielu względami przypomina, kokietuje mniej więcej ze wszystkiemi stronnictwami.

Jako działacz praktyczny, położył wielkie zasługi w sprawach oświaty ludowej.

Arnold znany jeszcze jest jako krytyk; tu należą jego: „Essays in Criticism" „Lectures on the study of celtic literature" „Literature and dogma" i t. d.

Poglądy swe na krytykę M. Arnold wykładu w pracy specyalnej. Autor sądzi, iż w historyi następują po sobie na przemiany epoki twórcze i krytyczne. W tych ostatnich gleba wyczerpana odpoczywa i jest przygotowywaną do przyszłych zasiewów i żniw poetyckich. Żyjemy właśnie w takiej, która bynajmniej, zdaniem Arnolda, nie jest jałowa. I owszem, analizując obrazy i idee dawniej wytworzone, roznosząc je po szerokim świecie, krytyka dopełnia dzieła koniecznego, po którem z czasem nastąpi epoka wielkiej twórczości syntetycznej. Żadnych jednak nowych metod autor do krytyki nie wniósł. Był eklektykiem i dyletantem, który metodę Taine'a rozwadniał subjektywizmem.

Dla przykładu weźmy jego poglądy na literaturę francuską, wyrażone między innymi w „Discourses in America." „Francya średniowieczna przedstawiała—dzięki katolicyzmowi, który nakładał na ludzi pewną powściągliwość—naród łączący wesołość galską i jasny rozum łaciński z powagą i głębią germańską." Podbój galloromanów przez franków wprowadził ten ostatni rys do charakteru francuskiego. Niestety, równowaga nie była stałą. Reforma rozłączyła te żywioły. Właściwości germańskie nie były dość silne, aby mogły zachować panowanie w rasie francuskiej. Istniały wszakże powien czas; ich wpływowi trzeba właśnie przypisać pyszny rozkwit literatury za Ludwika XIV. Ale z czasem powaga, stałość, czystość niemiecka poznikały i w kulturze francuskiej zapanował racyonalizm obok rozwiązłości. „Czy sam Renan, człowiek, którego życie prywatne jest bez skazy, nie pisał: „Natura nie dba wcale o czystość. Lekkomyślni mają, być może, racyę"? Nie chcę obrażać francuzów, ale wiadomo, iż ukochaną ich boginią jest Aselgeia."

Francuz stał się „człowiekiem średnim, zmysłowym," nie zdolnym na nic wielkiego. Arnold uznaje zalety ich ustroju spo-

---

Orla.

Ciebie, Arjosie, mieliby zabić? O niech raczej zarzucą kir na słońce, żeby nie przyświecało ziemi.

Arjos.

Stanie się, co ustanowiono w przedwiecznej prawidłowości nieba.

Orla.

Nie mów tak, mistrzu kochany, nie oczekuj spokojnie złego, ujdź stąd z nami daleko aż tam, gdzie ono nas nie dojrzy, nie spotka, nie zgnębi.

Arjos.

Mamyż być lękliwsi od brzegów, które nie cofają się i wytrzymują napór fal morza? W duszach naszych nie ukryliśmy prawd kradzionych i nie potrzebujemy chronić się, ażeby ich kto nie odnalazł? Rozdzielimy ten dar boży między wszystkich, którzy do nas przyjdą. A jeżeli nadleci ślepa i dzika burza, to uciekając przed nią, cóż zyskamy, gdy nas doścignie o kilka kroków dalej? Wilk ginie w obronie swych szczeniąt, czyż nasza miłość jest mniejsza, niż wilka, a to, co ukochaliśmy, gorsze od szczeniąt? Nie, Orlo, siostrami miłości są wiara, nadzieja i stałość, ale nie trwoga.

Orla.

O, boże, zachowaj go dla chwały swojej i dla dobra naszego! Jeżeli rzuciłeś na ziemię ten swój odblask, niech on jej świeci jak najdłużej. Arjosie, będziemy ci zawsze posłuszni, ale ty pamiętaj, ażebyś nam nie ubył.

Arjos.

Nie wybierałem czasu swego przyjścia, nie wybiorę również czasu odejścia. Bóg sam to oznaczy.

Orla.

On przecie nas nie skrzywdzi, on cię prędko nie odwoła — prawda?

Arjos.

Cokolwiek uczyni, uczyni z miłości.

Orla.

I ja także, Arjosie.

Niepewnym jeszcze krokiem, blady, z owiązaną ręką zbliżył się Beg.

Beg.

Jestem twoim niewolnikiem i pozwolę protoryjczykom wbić się na pal, jeśli każesz, ale wysłuchaj mnie.

Arjos.

Nie mam niewolników, mam tylko braci — mów.

Beg.

Przyjdzie wojsko, które ten tłum rozgoni, ciebie uwięzi, a mnie na dzidach zaniesie do stolicy.

Arjos.

Wolę boga poznamy, gdy ona się spełni.

Beg.

Nie spełni się boska, ale ludzka, której uniknąć można i trzeba. Cała ta rzesza nie posiada innej broni, prócz kijów, którymi podpierają się kulawi. Czemże walczyć będzie? Uprowadź ją do mojego kraju, tam ją uzbroję przeciw napaści, tam znajdziesz gościnę, tam będziesz mógł bezpiecznie wykładać naukę twoją.

Arjos.

Ktokolwiek weźmie do rąk oręż przeciw bliźniemu, nie jest ani uczniem moim, ani wyznawcą boga mojego.

Beg.

Więc zostanę z tobą. Winienem ci życie, oddam je wrogom, kiedy tego żądasz.

Arjos.

Nie, Begu, wróć do swojej ziemi i bądź w niej apostołem miłości, a mnie daj tylko przysięgę, że nigdy krwi ludzkiej nie przelejesz.

Beg spojrzał w łagodne oblicze Arjosa i uczuł w sobie jakiś dreszcz przemienienia.

Beg.

Przysięgam, a jeżeli nie wytrwam, przyjdę do ciebie, ażebyś ten ślub zdjął ze [illegible]

Arjos.

Nie zdejmę z ciebie błogosławieństwa mojego.

łecznego; to jednak nie przeszkadza mu hołdować arystokracyi. „Homer—powiada—wyświadczył ludziom dobrodziejstwo już przez to samo, iż pisany jest w wielkim stylu. Również główną cnotą arystokracyi jest to, iż we wszystkiem posiada wielki styl.“ Tym rysem arystokratyzmu duchowego M. Arnold znowu przypomina Renana.

L. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 10 września.

Od dwudziestu kilku lat odbywa się corocznie zjazd lekarzy niemieckich, niezwracający na siebie uwagi ogółu szerszego. Cóż tłum profanów mogły obchodzić poważne dysputy kapłanów Eskulapa? Tegoroczny kongres był pod tym względem wyjątkiem, a dla wielu prawdziwą niespodzianką. W Eisenachu w końcu czerwca stanęły do walki dwa obozy: starzy obrońcy tradycyi i przywilejów i młodzi, głoszący herezyę i przysięgający na nowe ideały. Zwycięztwo odnieśli młodzi, mając po swojej stronie sprzymierzeńca w fakcie dokonanym przez samą ewolucyę zawodu lekarskiego w Niemczech. Walka wszczęła się z powodu t. zw. *freie Arztwahl*, czyli zasady, na której mocy członkom kas dla chorych ma być pozostawiony wolny wybór lekarza. Instytucye te, stworzone przez równoczesne społeczne prawodawstwo Niemiec, wielce pożyteczne dla mas, przedstawiają olbrzymią organizacyę, obejmującą do 8 mil. osób. Oparte na wzniosłej zasadzie asocyacyi, wykazały jednak z biegiem czasu sporo wadliwości. Kasa, do której należy zwykle po kilka tysięcy osób, posiadała przedtem jednego tylko lub dwu lekarzy, tak iż wątłe barki ordynatora obciążała praktyka, przewyższająca siły pojedyńczego człowieka. Ulżyć sobie tego ciężaru można było, burząc gorliwość w traktowaniu chorych, czego zresztą nie należy brać za złe lekarzowi ze względu na to, iż przy niedostatecznej pensyi wypadało nieraz za pojedyńczą poradę po 20 fen. Jakkolwiek posada nie należała do intratnych, nęciła niejednego weterana praktyki lekarskiej. Objąwszy ją, nie trzeba było uganiać się za pacyentami i miało się przynajmniej zapewniony dobrobyt na pewien czas. W wielkiem mieście, gdzie widoki zarobkowe są chwiejne, a doroczna fala przynosi na rynek naukowy wciąż nowe siły, stała pensya ma wartość większą, niż zyskowność. Każdy młody lekarz, chcący zdobyć pewną placówkę w społeczeństwie, marzył przedewszystkiem o utorowaniu sobie drogi do stanowiska lekarza jakiejś kasy. Wobec chmary współzawodników, należało się uzbroić w spory zasób odwagi, równającej się bezczelności, mieć sumienie podatne do uśpienia sofizmatami i silną — protekcyę. Kasy stały się z czasem widownią wyścigów, intryg i targu. W tych razach bowiem, gdy aspirant nie mógł się schronić pod opiekuńcze skrzydła wpływowego protektora, podstawiał konkurentom nogę, miarkując swe wymagania. W ten sposób lekarze sami zniżyli i zniesławili swój zawód w oczach opinii publicznej. Niegdyś widziała ona w lekarzu kapłana miłosierdzia, niosącego ukojenie cierpiącym; dziś ujrzała przed sobą nędznych karyerowiczów, gryzących się wzajemnie o marny łup. Zarządy kas — w to im graj! Widząc, jak współzawodnicy rzucają się na siebie z wyszczerzonymi zębami wobec każdej wolnej posady, zniżały nieraz pensyę do takiego stopnia, iż odtrącając lekarzy, przyciągały one tylko różnych konowałów. Zwyczaj ten rozpowszechnił się jeszcze więcej, gdy przedstawiciele rządu oświadczyli w Reichstagu, iż obowiązujące w tej sprawie przepisy nie dają bliższych wskazówek co do tego, jakie wykształcenie jest wymagane od kandydata. W konkurencyi, jak wiadomo, zwycięża nie silniejszy, lecz sprytniejszy. Ci więc, co zdołali ubiedz swoich współzawodników, nie zawsze byli godni swej nominacyi, lecz za to nigdy nie zapominali, iż wyrwanej innym zdobyczy nie należy wypuszczać z rąk. Lekarz, który miał być duszą całej instytucyi, stawał się posłusznym sługusem zarządu. Szły na bok interesy chorych; uwzględniane były kaprysy wodzirejów, chociażby to przytakiwanie i święcenie bak miało być z uszczerbkiem dla własnych poglądów i ideałów. Lekarz, powolny służka, zabierał głos tylko wtedy, gdy był pewny, że z góry nie odezwie się groźne *quos ego.* A jednak gorycz takiego stanowiska osładzała myśl, iż należy się do garstki uprzywilejowanych. Na usługach 215,000 członków zorganizowanych kas berlińskich było 164 lekarzy. Z natury rzeczy musiała przeciwko tak nienormalnym stosunkom powstać reakcya z łona samych lekarzy. W r. 1891 założono „Stowarzyszenie dla wprowadzenia wolnego wyboru lekarza w berlińskich kasach dla chorych.“ Agitacya była prowadzona z tak wielkim zapałem i skutkiem, iż tego samego jeszcze roku kasa mechaników, licząca 14,000 członków, zawarła umowę ze wspomnianem stowarzyszeniem, na której mocy każdy z należących do niego lekarzy jest obowiązany nieść pomoc członkom kasy w razie potrzeby. Było to dla nich wielką wygodą niekrępowanie w wyborze, gdyż, jak rzekł Virchow przed pięćdziesięciu laty, „lekarz jest w istocie rzeczy mężem zaufania. Z chwilą, gdy traci ten charakter, sprzeniewierza się swemu powołaniu.“ Tem bardziej dotyczy to wypadku, gdy pacyentem jest robotnik, który w lekarzu widzi zbawcę wobec klęsk, spadających na rodzinę wskutek zachorowania jej głowy. W r. 1894 oświadczyło się za nową zasadą już kilkanaście kas o 140 tysiącach członków, stowarzyszenie zaś lekarzy, hołdujących tej idei, miało w swem gronie 1,100 osób. Zaczęła się silna agitacya, podjęta przez zepchniętych posiadaczy synekur. Zarzucano nowoutworzonym kasom, iż wskutek zaprowadzonych zmian są zmuszone trwonić krwawo zapracowany fundusz instytucyi. Aby nie dawać powodu do zarzutów, kasy musiały wprowadzić różne reformy. Tak np. istnieje przy zarządzie komisya, która co miesiąc przegląda sprawozdania lekarzy i sprawdza, czy stosownie do dyagnozy nie przeciągano kuracyi. Oprócz tego podczas zastoju przemysłowego ilość porad lekarskich rośnie z tej przyczyny, że robotnicy, pozbawieni zajęcia, udają chorych, aby otrzymane z kasy, jako wsparcie, t. zw. *Krankengeld*, użyć dla wypełnienia niedoborów w budżecie. Gdy lekarz podejrzewa, że choroba jest udawana, powinien zawiadomić o tem jednego z członków; następnie zarząd deleguje specyalnego lekarza dla zbadania sprawy. Berlin posiada dzisiaj już 39 kas nowego typu, obejmujących do 200,000 członków. Obecnie idzie o to, o ile da się nową organizacyę zaszczepić na gruncie

---

Beg.

Połóż mi na ustach rękę, jak w dniu, w którym mnie tu przyniosłeś.

Ucałował dłoń Arjosa i odszedł. Ale przystanął, obejrzał się i rzekł:

Beg.

Orlo, ty go nie opuścisz?

Orla.

Nie, Begu.

Widok 25.

Przestraszeni złą wieścią niewolnicy oczekiwali groźnej chmury i piorunu. Jakoż Tarlon, stojący ciągle na czatach, dostrzegł długą kolumnę jeźdźców, która kłusem wysunęła się z miasta. Za nią podążał wóz, zaprzężony w ścigłe rumaki, a na końcu sunął się ogon ciekawego tłumu.

Tarlon.

Koniec marzenia! Jadą po nas!

Ozwał się długi jęk. Orla przypadła do Arjosa, który tak spokojnie patrzył na cwałującą kolumnę, jak gdyby miał w niej powitać przyjaciół.

Orla.

Arjosie, drogi Arjosie, oni nam ciebie nie wydrą!

Arjos.

Miłości nikt ci nie odbierze.

Wojsko zatrzymało się, a opodal stanął wytworny wóz, w którym siedział Astjos i Heron.

Dowódca.

Gdzie jest herszt tej bandy — Arjos?

Arjos.

Oto jestem.

Żołnierze pochwycili go między siebie,

Dowódca.

Przebywa tu rabuś Beg, z plemienia Ibów, który został ranny w bitwie?

Arjos.

Odesłałem go do ojczyzny, ażeby w niej miłość rozmnożył.

Dowódca.

Będziesz za niego wisiał. Niewolnicy niech się oddzielą na lewo!

Rzesza pozostała nieruchomą.

Słyszeliście? Niewolnicy na lewo!

Nikt nie drgnął, a wzgórze i doliny wyglądały jak cmentarz, na którym stały wykute z kamienia postacie nagrobków. Dowódca zwrócił się do żołnierzy:

Wybierzcie niewolników i spędźcie na drogę.

Żołnierze wjechali w środek rzeszy i rozpoznając niewolników bądź po odzieży, bądź po piętnach i zgarniając w gromady, wyparli ich końmi na gościniec bez żadnego oporu. Dowódca przemówił:

Wolni obywatele mają się rozejść do domów swoich dziś przed północą; w przeciwnym razie będą jutro siłą rozpędzeni.

To rzekłszy, wydał komendę pochodu. Jeńców zamknęło wojsko czworobokiem i ruszyło z nimi ku stolicy. Przed niewolnikami pod osobnym konwojem szedł Arjos blady, ale spokojny, z głową w jasności, z oczami w niebie.

Orla spoglądała na ten pogrom niema, stężała w boleści i zdumieniu, nie zrobiwszy ani jednego ruchu. Pod jej rzęsami błyszczały dwie wielkie, nabrzmiałe łzy, jak gdyby w nich stopiły się i skrzepły kryształem jej oczy. Gdy wojsko odeszło, wyskoczyli z wozu i przybiegli do niej Heron z Astjosem.

Heron.

Chyba już dosyć masz tej szalonej wycieczki.

Astjos.

Orlo, nie narażaj się. To gorszące.

Nic nie odrzekła, nawet na nich nie spojrzała. Oni ją wzięli na ręce, zanieśli do wozu i odjechali. Pozostała rzesza przez chwilę stała w osłupieniu, nareszcie buchnęła głośnym, serdecznym płaczem. Gdy słońce spadło pod widnokrąg, słychać było długie szlochanie sierot na łonie nocy, która ich przytuliła.

(D. c. n.).

prowincyonalnym. Otrzymała ona już w życiu prawo obywatelstwa; siewcy nowej idei żądali jeszcze, aby kongres, światły areopag lekarski, udzielił jej u-święcenia i błogosławieństwa. Pomimo iż ci uczestnicy zjazdu, którzy kruszyli kopie za konający stary porządek rzeczy, powoływali się na koryfeuszów nauki i praktyki, pomimo iż starali się „młodych" oskarżyć o przewrotowe poglądy polityczne, pomimo wreszcie iż usterki nowych kas rozdymano do przestraszających rozmiarów, zjazd większością głosów uznał doskonałość kas nowego typu. Uchwała ta nie miałaby tak doniosłego znaczenia, gdyby opisane zmiany nie były zapowiedzią gruntowniejszych reform, dotyczących całego zawodu lekarskiego. Coraz więcej odzywa się głosów, żądających zużytkowania nowoutworzonych kas w celu upaństwowienia pomocy lekarskiej. Całe stosy bibuły drukowanej, zalegającej pułki księgarni medycznych, są poświęcone kwestyi lekarskiej. Liczne książki i broszury rozpatrują nędzę, panującą w zawodzie lekarskim, wadliwość honoraryum pieniężnego i konieczność zorganizowania, a jeżeli się da — upaństwowienia pomocy lekarskiej wraz z aptekami i klinikami. Nie przypuszczamy, aby głosy te były echem poglądów, wypowiedzianych w innych krajach. Niedawno np. w Anglii z podobnym projektem wystąpił znany publicysta Havelock Ellis. Prąd ten szerzy się atoli w Niemczech z taką szybkością, iż musimy mu poświęcić nieco uwagi, tem bardziej, iż wertując odpowiednie broszurki, nieraz chciałoby się wykrzyknąć: *tout comme chez nous!*

(D. n.)

or.

W HOLANDYI.

I.

Rozprawiano dużo o impresyonizmie. Ktoś patrzył na niego jako na zwiastuna zgoła nowej epoki w sztuce, wyższej, niż dotychczasowa, ktoś inny odmówił mu wszelkiej wartości i szkołę panującej barwy uważa za płód zwichrzonego umysłu i niezrównoważonej wyobraźni. Ale nie wiem, czy zwrócono uwagę na związek, jaki istnieje pomiędzy wymienionym kierunkiem twórczości artystycznej a epoką obecną, pełną gorączkowości i pośpiechu. Nasi pradziadowie zgoła inaczej używali swoich wczasów, odmiennie pracowali, wreszcie nie tak, jak my, odzwierciedlali w sobie świat zewnętrzny. Kiedy podróżowali, to czynili to długim dyszlem, bo nie było jeszcze pociągów, które przez parę godzin wysadziłyby ich o kilka mil dalej. Każdy krajobraz długo roztaczał przed nimi swoje powaby i tem samem widzieli oni przyrodę w przyodziewku, utkanym z połączenia najrozmaitszych barw, kiedy chwilowe odcienie rozpływały się, główne zaś, tj. trwałe, zdążyły uwydatnić się. My używamy przejażdżki przy pomocy pary i poprostu pochłaniamy wzrokiem jedno wrażenie po drugiem. Kiedy przyglądamy się z okien wagonu, to jakby ktoś obracał przed nami kalejdoskop i pokazywał nam wciąż odmienną mozajkę kamyków: jeszcze nie zdolaliśmy zdać sobie sprawy z jednego widoku, kiedy już inny przykuł oczy do siebie, ażeby podobnie szybko ukryć się w ginącej przestrzeni. Z wrażeń, napływających do naszych zmysłów, zatrzymujemy tylko zarysy, z pośród barw chwytamy nie tę, która najtrwalej trzyma się przedmiotu, lecz najjaskrawszą w danej chwili w akordzie obrazu wzrokowego. Fałszujemy w naszej wyobraźni przyrodę, ale nie w ten sposób, co artyści starej epoki, zwolna spożywającej i ospale trawiącej zarówno pokarmy, jako też wrażenia. Tamci, zamyśleni w szczegóły, zapominali o całości, o rysach przelotnych. My przystosowaliśmy szczegół do ogólnego wrażenia oraz ukochaliśmy to, co jaskrawością swoją przykuło oczy, chociażby owo coś było tylko chwilowem.

Z dzisiejszego życia wyjęliśmy jeden przykład, podobnie jak geolog z łożyska strumyka podnosi jeden kamyk, wygładzony i zaokrąglony, ażeby jego kształtami uprzytomnić słuchaczom działanie prądu wodnego. Potok życia jest pokryty niezliczonem mnóstwem takich okazów. Pośpiechem gorączkowym odznaczają się wszystkie dziedziny tegoczesnej doby, a jeśli tu i owdzie jeszcze do tego nie doszło, to przecież owa dążność jest wszędzie obecną i na wszystkiem wytłoczyła już swoje znamię. Obiad stanowił niegdyś, w domu staroświeckim, swojego rodzaju uroczystość, którą spełniano w pewnem skupieniu ducha; w restauracyach Londynu spożywają go stojąc przy bufecie, wśród tłoku, pośpiesznie, bo za każdym czeka kilku innych. Spędzano ongi tygodnie na pijatyce, smakując wina wytrawne, które zwolna działały: wnukowie pocieszają się szampanem, który wywiera wpływ natychmiastowy i stanowi godło dzisiejszej orgii, jak omszały węgrzyn—dawnej: Tak zawsze, i tak wszędzie. Życie nasze to podróż koleją: przyjaźń, uścisk kobiety, zabawa, widoki stają się coraz przelotniejsze. Impresyonizm w sztuce zrodził się z takiego trybu życia i takiego sposobu pochłaniania i tem samem przedstawiania wrażeń. Pod pędzlem będzie uwzględniona panująca chwilowo, choć może trzeciorzędna barwa, w powieści uwydatni się to inaczej, ale zawsze wyraźnie. W filozofii nietzscheanizm, jeżeli można mówić o takim filozoficznym kierunku, nie ubliżając tej macierzy nauk, posiada rysy podobnej dojrzałości. Impresyonizm niewątpliwie jest realizmem, ale realizmem wieku pary, opartym na doryweczem spostrzeganiu i łatwo przeradzającym się na tandetę. Niekiedy, użyty w stosownem przeznaczeniu, bywa doskonalszem zwierciadłem życia, aniżeli pradziadowskie zagłębianie się w szczegółach, ale tylko niekiedy.

Przyszło mi to na myśl teraz, gdym wziął do ręki nieliczne notatki, zrobione podczas mego pobytu w Holandyi. Przerznąłem kraj nizin wszerz i wzdłuż kolejami, tu i owdzie jeździłem tramwajem, który przestał tam być jedynie miejskim środkiem komunikacyi, lecz krąży po gościńcach, jak u nas odwieczne omnibusy, bawiłem po kilka godzin i nawet po dniu, w wielu miastach i miasteczkach. Naturalnie, nie poznałem Holandyi i jej mieszkańców, chociaż nabrałem pewnego pojęcia, które mi musi wystarczyć — pojęcia impresyonistycznego.

* * *

Obawiam się, iż spoglądając na ten kraj, jestem pod wpływem najpierwszego wrażenia. Kiedy wjeżdżałem na terytoryum Holandyi, przyroda powitała mię chłodem i niepogodą. Kropił drobny, ale gęsty i nieustający deszczyk. Łąki, poprzedzielane rowami, z mokrym podkładem pod wierzchnią warstwą trawy, kąpały się w wodzie. Nad bielami unosiły się opary, które miejscami zgęszczone tworzyły mgłę nieprzejrzystą, chmury wlokły się leniwo, nizko. Jeszcze niedojrzałe zboże zlewało się swą zielenią w harmonijną barwę z łąkami.

Obraz ten pozostał w pamięci, chociaż słońce południowe wesoło oblało promieniami pola i ubrało roztaczające się widoki w radosne, jasne szaty. i Impresyonizm pierwszej chwili wżarł s ę w mój umysł. Kiedy zamknę powieki, to majaczy mi się nizina, w wodzie, otulona oparami: jakoś bardzo zielono, bardzo wilgotno i bardzo nizko.

Oko, w którąkolwiek stronę się zwróci, spostrzega wszędzie łąki i tylko łąki. Porznięte je szpalerami wierzb, które idą już prosto, już to tworzą półkola lub biegną nieforemnie, przecinając się i krzyżując z sobą. Naturalne szpalery drzew nadają krajobrazowi szczególne piętno. Tam, gdzie się one krzyżują, zwykle stoi chata włościańska. Struktura osobliwa i fizyognomia odrębna — coś rdzennie holenderskiego. Domek zawsze murowany, cegła nie zeszpecona tynkiem i umiejętnie przetkana wapnem, nadaje zrębowi wygląd powabny. Wyobraźmy sobie naszą chatę. Ktoś rozciągnął jej ściany na wszystkie strony, i ona pęcznieje i pęcznieje. Później ujął dach wzdłuż linii, w której przecinają się obie jego połowy, i wydłużył je w górę. Powstaje bardzo wysokie i ostro spięte sklepienie na nizkim, ałopękatym ostowie. Okienice i framugi filuternie pomalowane. W jednej ze ścian poprzecznych wrota. To wejście do obory. W drugiej połowie znajdują się izby mieszkalne, człowiek i bydlę przebywają pod tą samą strzechą.

Chata za chatą wyrastają na widnokręgu, każda chędoga i czysta, jak dziewucha wiejska, w niedzielę wystrojona do kościoła. Podwórze starannie zamiecione otaczają drzewa. Dróżki czyściutkie, wyrównane i posypane piaskiem, nad rowem mostek z poręczami pomalowanemi na biało. Ogródek z grządkami jaskrawego kwiecia, niby kląb w parku. Obraz zakrawa na sielankę. Nie chce mi się wierzyć, iż jest to rzeczywistość. Raczej sądziłbym, iż jestem na przeszłowiekowej zabawie, kiedy markizy przebierały się za pasterki i pasły wymyte owce w parkach.

* * *

Fabryka, w pobliżu szereg domków dla robotników. Przyzwyczaiłem się do fabryk-koszar: wielopiętrowego, brudnego a obszarpanego budynku, mnóstwa wybitych szyb, śmietniska dokoła. Na ziemi holenderskiej widok nieco odmienny. Zakład stoi w polu i posiada strukturę ostrą, jak zawsze bywa w krainie łąk, mury schludnie utrzymane, szyby przezroczyste. I domki robotników wyglądają miło: grządki kwiatów, czyściutkie dróżyny, drzwi pomalowane. Czy impresyonizm nie płata mi figlów i nie nakłada łuski na oczy? Rzecz to możliwa, choć swoją drogą mury fabryczne posiadają coś z sielanki. Nad nimi unosi się woń siana, i czystość, i wreszcie pewna swojskość. Tej swojskości pełno dokoła mnie w Holandyi. Każdy drobiazg świadczy o tem, że kultura, którą oglądam, nie została skądinąd przesadzoną, ale wyrosła z rodzimego pnia i stanowi dorobek miejscowy, z roku na rok w ciągu stuleci mnożony. Ów domek murowany, w którym mieszka włościanin, powstał z chaty drewnianej, krytej słomą: nikt nie przyniósł wzorów z dalekiej obczyzny, bo struktura jest swojską, wieśniak jedynie użył doskonalszego materyału, w niczem innem nie sprzeniewierzając się tradycyi pradziadów. Wiatrak, nieodłączny w krajobrazach holenderskich, równie świadczy o takiej samorodności postępu. To samo wrażenie czynią miasteczka, które co chwila mijamy, schludne, małe, pełne oryginalności. Te gromady domów są gdzieindziej zlepkiem zwyczajów kosmopolitycznych: znajdują się one po nad kulturą narodową, jako ośrodki ogólno-światowego szkieletu, będącego widoczną oznaką, że tworzy się nowa kultura, międzynarodowa. Stanowią one produkt powszechnej wymiany towarów i idej i posiadają stosowną fizyognomię. W Holandyi odbieram inne wrażenie. Miasto jest tam zbiorowiskiem narodowem, które pod wpływem potrzeb miejscowych doskonaliło się w ciągu wieków podobnie, jak chata włościańska, aż wreszcie z własnej pobudki stało się takiem, jakiem je dzisiaj widzimy.

Postęp wygląda tutaj, w kraju nizin i łąk, inaczej. Rodzi się on nie z nowatorskiego popędu, który niekiedy wypływa z chorobliwej histeryi, lecz stanowi owoc potrzeby, odczutej przez zdrowego, może nawet rutynicznego człowieka.

* * *

Pomiędzy Arnheimem a Utrechtem ściele się krajobraz odmienny, nie holenderski, chociaż równie uroczy. Zamiast zielonej powierzchni łąk, łany dojrzewającego zboża. Kultura ziemi wysoka, datująca się nie od wczoraj. Na pograniczu, tam gdzie u nas biegną miedze, idą szpalery wiązów i grabów, które rozrosły się potężnie, jak przystoi drzewom, liczącym kilkadziesiąt, może więcej lat wieku. Posadzone paru rzędami. Pośrodku w gęstwinie wązka, ale mocno ubita droga; w cieniu, pod przykryciem zielonem, jedna i druga altanka, każda przyodziana osłoną z bluszczu. Szpalery-gaje troskliwiej utrzymane, aniżeli w niejednym parku. Schludne domki, pokryte bluszczem z filuternym kłąbem kwiatów, wrota i mostki pomalowane na biało. Rzędy alej pogranicznych krzyżują się, łączą i wybiegają, aż nareszcie tam, na dalekim widnokręgu, zlewają się w zwartą gromadę drzew i łudzą wzrok widokiem nieistniejącego lasu. Każda osada włościańska, t. j. należący do niej kawałek pola, jest zewsząd otoczony temi alejami. Tak, to kultura, wypielęgnowana przez włościanina, ale takiego, który posiada parę włók ziemi, od wieków zagospodarowanej umiejętnie. Gdzie niegdzie z po za drzew ukaże się jednopiętrowy pałacyk, siedziba większego właściciela. Struktura odrębna świadczy o tem, że różni ludzie tam mieszkają, z innymi poglądami i innemi potrzebami.

* * *

Przejeżdżamy przestrzeń zamkniętą pomiędzy licznemi odnogami Renu i w dosłownem znaczeniu wydartą ruchliwemu żywiołowi rzecznemu. Łąka bez końca, pokratkowana przez smugi i kanały, jak u nas pole przez rowy. Prostopadle do toru kolejowego, co chwilę biegnie taka smuga i nie zbaczając z prostej drogi ginie w oddaleniu. Pasy wody układają się pod wpływem złudzenia w olbrzymi wachlarz, jakby przegięty w jednem miejscu. Inne towarzyszą torowi lub idą równolegle. Czasami ciągnie się smuga-macierz, tak szeroka, jak najszersza ulica, z obu stron związana w swojem łożysku przez groble, prościutka. Na grobli idzie droga, woda w smudze wznosi się o parę łokci po nad poziomem przyległej niziny, a do tamy tulą się chatki wieśniacze. Jest to prawdopodobnie jedna z odnóg Renu. Niechaj się ukaże chociażby najmniejsza szpara, a niebawem powódź zniesie z sobą dobrobyt setek rodzin. Człowiek żyje w bezustannem niebezpieczeństwie—cichem, bo wody te płyną bez szmeru i żłobią pod groblą zniszczenie; powolnem, bo ów wróg podkopuje się w ciągu dziesiątka lat; systematycznem wreszcie, bo każda minuta dorzuca coś do dzieła zagłady. Istota ludzka musi w podobny sposób odpierać nieustający zamach na swoje prawa. Niema tutaj miejsca na wielkie czyny bajecznego Wyrwidęba, taki gwałtownik umarłby z nudów na nizinie holenderskiej. Przyroda oducza mieszkańca tych terytoryów od miotania się i brawury, tresuje go w powolnej, ale ciągłej i systematycznej pracy, przyucza do cierpliwości. Niziny, które oglądam obecnie, stanowią arenę walki pomiędzy człowiekiem a rzeką; pierwszy zwycięży, tylko dzięki cechom swego charakteru.

Nad smugami wody, tuż na krawędzi, stoją domki. Drzewa przeglądają się w zwierciadle, na którego powierzchni pływają olbrzymie okrągławe liście lub wynurza się kwiat lilii wodnej. Przy urwistym czarnym brzegu łódka, po nad kanałem mostek, którego nie zapomniano pomalować na biało, barwa ta odbija ostro od czarnej drogi po przez torfowiska. Zimą te przestrzenie, ścięte lodem, zamieniają się na ślizgawkę bez końca i ludzie na łyżwach podtrzymują komunikacyę. Wszędzie mnóstwo bydła. To, które pasie się daleko, uchodzić może za gromadę olbrzymich kwiatów, rozrzuconych po zielonym kobiercu przez kapryśną rękę. Również nie brak wiatraków. Stanowią one charakterystyczny budynek na nizinie, wydartej Renowi i służą za dźwignię regulowania kanałów.

Woda i łąka, łąka i woda, bydło i wiatraki—od godziny jednej i drugiej mam przed sobą ten sam widok, przyćmiony zlekka mglistą powłoką. Jednostajność oddziaływa na zmysły i jakby napędza drzemkę na oczy. Ocknąłem się na stacyi pod wpływem lekkiego wstrząśnienia wagonu. Zanim zdołałem przetrzeć oczy, już pociąg ruszył. I znowu łąka, woda, bydło i wiatraki. Powtórzenie poprzedniego widoku, chociaż z niejaką zmianą, bo coraz więcej wody i wiatraków. Krajobraz złożony z tysięcy wysepek, niezmiennie czworobocznych, każda z własną chatką. Mając przed oczyma taką panoramę, wjeżdżam do Rotterdamu.

K. R. Żywicki.

ZA URALEM.

Rezultaty poszukiwań geologicznych. — Towarzystwo pomocy dla przesiedleńców. — Koszty dostawy — jak z bajki! — Żegluga parowa na Lenie. — Skazańcy przy budowie kolei. — Przejrzenie i reforma prawa karnego w Rosyi. — Przemysł górniczy dla cudzoziemców. — Obawa o napływ żółtoskórych.

Już wzmiankowaliśmy poprzednio o tem, że kolej Syberyjska stała się bodźcem do poszukiwań geologicznych i geograficznych, które niewątpliwie przyczynią się do gruntownego zbadania tych olbrzymich i dzikich obszarów, pozwolą jasno z góry obliczać warunki kolonizacyi i pracy wytwórczej. Obecnie mamy pod ręką sprawozdanie z takich poszukiwań południowo-ussuryjskiej ekspedycyi górniczej z r. 1893, inż. Iwanowa. Otóż dowiadujemy się, że roboty prowadzono na przestrzeni przeszło 200 wiorst szerokości po obu stronach linii kolejowej. Warunki atoli były nadzwyczaj nieprzyjazne i zabójcze. Choroba syberyjska wytępiła całą karawanę wyprawy, stepowe zaś i błotniste przestrzenie doliny Lefy i wschodniego pobrzeża jeziora Chanka tworzyły wielką przeszkodę. Najważniejszym bodaj rezultatem pozytywnym było odkrycie formacyi węgla kamiennego. W jednej miejscowości pokłady obliczono na 300—400 milionów pudów (5—8 mil. ton); a więc cała kolej będzie mogła korzystać z paliwa mineralnego. Dalej znaleziono już wytwory wulkaniczne, granit, bazalt i t. d. Wzdłuż granicy mandżurskiej około górnej części rzeki Sianche, wpadającej do jeziora Chanka, odkryto złoto. Obok tych bogactw kopalnych stwierdzono istnienie warstw gliny ruchomej, rzadkiej, zmieszanej z piaskiem i łatwo dającej się nasycać wodą. Zalewa ona kanały, a przy wysychaniu, zwłaszcza podczas mrozów, pęka, przez szczeliny sączy się woda i psuje powierzchnię gruntu. Dla nasypów kolejowych szczególnie to jest niepożądane.

Niedawno Towarzystwo pomocy dla przesiedleńców ogłosiło sprawozdanie za rok 1894, które zawiera bardzo wiele ciekawych szczegółów i daje nam jaśniejsze pojęcie o warunkach i stanie kolonizacyi. Instytucya ta istnieje dopiero cztery lata i trzeba przyznać, rozwija się materyalnie dość powoli, a jednak powinna być nietylko pośredniczką i ofiarodawczynią drobnych kwot dla ubogich emigrantów, lecz sterem i duszą kolonizacyi, która dotychczas idzie po omacku i dlatego nie może dać takich rezultatów, jakich należałoby oczekiwać. Na to wszystko trzeba wszakże pieniędzy, bez końca pieniędzy, które płyną do instytucyi bardzo wązkim i powolnym strumieniem ofiarności publicznej.

Sprawa ułatwień komunikacyjnych lądowych i wodnych jest teraz na porządku dziennym urządzeń syberyjskich. Najobszerniejszy okrąg Jakucki posiada piękne, olbrzymie rzeki, pyszne drogi wodne w lecie. Wspaniała Lena ma 4,300 wiorst długości i wraz z dopływami: Witimem, Olokmą, Aldenem, Wilujem przedstawia najbogatszy wiodozbiór w Azyi. Przestrzeń, przez którą one przepływają, zajmuje 43,000 kwadratowych mil geograficznych. Komunikacya jednak za pomocą tych rzek pozostawia wiele do życzenia. Lena, tak samo, jak Jenisej i Ob, płynie na północ i wpada do morza Lodowatego, rozpada się na dwie ogromne odnogi (Alden i Lena), które się zlewają ze sobą na obszarach dalekiej północy, zupełnie niezdatnych dla życia kulturalnego. Przytem ujście Leny nie daje otwartego limanu, jak Jenisej, ani też wygodnej zatoki morskiej, jak Ob. Natomiast tworzy olbrzymią deltę, porzniętą na mnóstwo wysp, które utrudniają dostęp z oceanu. Są to główne przyczyny, dla których Lena nie ma dotychczas komunikacyi stałej ani z Europą, ani z Ameryką. To też żegluga na tej rzece jest w bardzo pierwotnym stanie. Nawet poczta wędruje na łódkach, a produkty żywności są sprzedawane mieszkańcom dalekiej północy bajecznie drogo; z bogactw miejscowych w systemie Olekmińsko-Witimskim uważano za możliwe do eksploatacyi tylko obfite pokłady złota. O kosztach transportu mówi fakt trudny do wiary: lokomobila, sprowadzona przez p. Sibiriakowa do jego kopalni złota, z dostawą na miejsce kosztowała *czterdzieści pięć tysięcy rubli*. Nic też dziwnego, że na północy prowincyi Jakuckiej życie ekonomiczne nie mogło się rozwijać wobec tego np., że pud żyta kosztuje dziewięć rubli!

Zdaje się wszakże, że taki stan rzeczy będzie wkrótce należał do przeszłości, bo oto niżnoudyński kupiec, Glotow, urządza stałą żeglugę pocztowo-pasażerską na Lenie. Na mocy umowy z generał-gubernatorem irkuckim, przedsiębiorca zobowiązał się rozpocząć już w roku bieżącym terminową żeglugę między Tarasowską stacyą pocztową a Jakuckiem na przestrzeni 2,200 wiorst, a za dwa lata ustalić komunikacyę między przystanią Żygałowską i stacyą Tarasowską. Parostatki powinny kursować co tydzień i w ciągu całego okresu żeglugi przejść 16 razy w dół rzeki i tyleż z powrotem. Za każdy taki przejazd przedsiębiorca otrzymuje od rządu 1,718 rs. 75 kop. w ciągu lat 12. Za to p. Glotow zobowiązał się przewozić bezpłatnie wszelką korespondencyę urzędową, konwoje aresztanckie i wogóle wszystkich urzędników, wysyłanych w sprawach służby. Za przewóz towarów rządowych opłata ma wynosić po $\frac{1}{20}$ kop. od puda i wiorsty, czyli od Żygałowej do Jakucka 1 rs. 20 kop. od puda za 2,400 wiorst. Jest to cena stosunkowo bardzo wysoka. Nierównomierna i niewłaściwa jest także taksa pasażerska. Podróżny I-ej kl. płaci po 5, II-ej po 3, III-ej po 1¼ kop. za wiorstę. Trzeba jednak tutaj uwzględnić dopiero zaczątki żeglugi parowej, która z czasem będzie niewątpliwie doskonalsza i przystępniejsza.

Z komunikacyi lądowej musimy zaznaczyć fakt doniosły, że roboty około budowy wielkiej kolei transsyberyjskiej w różnych punktach idą nieprzerwanie. Obecnie przystąpiono do organizacyi robót w gub. tomskiej, przy pomocy aresztantów

a zesłańców. Przedsięwzięcie budowy w tem miejscu nie może być obojętne nietylko dla mieszkańców Syberyi zachodniej, lecz i Rosyi europejskiej; taki obrót rzeczy każe bowiem przypuszczać, że Tomsk i Irkuck prędzej, niż mniemano, będą połączone z ogólną siecią kolei w całem państwie. Co do pracy zesłańców, skazanych na ciężkie roboty, pierwszy raz użyto ich do budowy gałęzi Południowo-Ussuryjskiej, gdzie wszakże doznano pewnego zawodu i odesłano owe siły robocze z powrotem na Sachalin. Na większą skalę powtórzono tę próbę przy budowie części kolei środkowo-syberyjskiej. Dla ściągnięcia zaś rąk do pracy z wszelkich kategoryj zesłańców, nadano im pewne ulgi. Mianowicie katorżnikom postanowiono liczyć czas spędzony przy budowie kolei w stosunku osiem miesięcy za rok kary. Skazanym na „posielenie“ termin zaliczenia do włościan skracać za pomocą zaliczania każdego roku pracy przy budowie — za dwa lata. Pracującym więcej niż dwa lata termin, w którym wolno skazańcowi dobrowolnie wybrać miejsce zamieszkania, skrócono do połowy. Nieco później postanowiono zasilić szeregi robotnicze przy budowie kolei za pomocą ściągnięcia aresztantów, odbywających kary w więzieniach różnych kategoryj. I tutaj osiem miesięcy pracy postanowiono liczyć za rok kary. „Pomimo że osłabieni życiem więziennem aresztanci o wiele ustępowali w sile robotnikom wolnym—pisze *Sibirskij Wiestnik*—zastosowanie rąk więźniów przy budowie kolei środkowo-syberyjskiej dało tak dalece świetne rezultaty, że owi aresztanci i zesłańcy zwrócili na siebie Najwyższą uwagę.“ Wobec tego postanowiono system użycia tej kategoryi robotników wprowadzić na całej długości kolei syberyjskiej. Obecnie w tym celu zebrano dane w obrębie gub. tomskiej: liczyła ona przed 1 stycznia 1893 r. zesłańców 37,551. W ciągu r. 1892 przybyło więźniów 5,329. Tym sposobem rząd posiada do rozporządzenia przy budowie kolei w obrębie powyższej gubernii przeszło czterdzieści tysięcy robotników.

Tak więc roboty skazańców obejmują cząstkę zawiłej kwestyi kar, o których przekształceniu ciągle się mówi. Sfery ministeryalne zwróciły już dawno uwagę na ową zawiłość. Gdy bowiem liczba artykułów w kodeksie francuskim z r. 1810 nie przekracza 484, w niemieckim 370, węgierskim 486, holenderskim 475, włoskim 498, rosyjska ustawa karna obejmowała paragrafów 2,224, w wydaniu z r. 1857 — 1,304 i w wydaniach z lat 1866 i 1885 — 1,711. Wobec tego ministeryum spraw wewnętrznych i sprawiedliwości stworzyły kilka komisyj, których prace o urządzeniu więzień i zmianie szczebiów kary, były podstawą późniejszych prac. W r. 1882 stworzono komitet dla opracowania projektu nowej ustawy. Z członków owego komitetu wybrano komisyę redakcyjną, w której skład weszli wybitniejsi prawnicy: towarzysz sekretarza państwa, doktor prawa kryminalnego N. Nekludow i senator A. Tagancew. Nadto w kwestyi prawa międzynarodowego skorzystano z pomocy prof. Martensa, następnie w innych przedmiotach — ze wskazówek akademika J. Mierzejowskiego, prof. J. Sorokina i doktora O. Czeczotta. Wreszcie w zakresie szwanków cielesnych pośpieszyli z usługą lekarze. Prace przedsięwzięto na wielką skalę. Projekt nowego kodeksu w przekładzie francuskim i niemieckim rozesłano wybitnym uczonym Europy zachodniej. Oddzielne części prawa roztrząsali także liczni specyaliści i różne towarzystwa. Prace te objęły 13 dużych tomów i pochłonęły 14 lat. Obecnie już są skończone. Liczbę artykułów w kodeksie zmniejszono z 1,711 do 598, ale jeszcze bardziej uproszczono system kar. Zasadniczą jest pozbawienie swobody; które się rozpada na kilka kategoryj: ciężkie roboty, dom poprawczy, więzienie i areszt. Roboty są obowiązkowe dla wszystkich więźniów. Im większe przestępstwo, tem cięższa praca i mniejsza płaca zarobkowa. Skazani na katorgę i zamknięci w domu poprawczym, mogą być używani do robót wewnętrznych i zewnętrznych. Pierwsi otrzymują 0,1, drudzy 0,3 swego zarobku. Skazani na ciężkie roboty są trzymani w zamknięciu wspólnie; na noc tylko należy ich rozdzielać. Skazani do domu poprawczego, pierwsze sześć miesięcy spędzają samotnie, a następnie stykają się razem tylko przy pracy. Podczas odpoczynku i w nocy są rozmieszczani osobno. Zamknięci w więzieniu przez cały czas siedzą osobno, ale przy pracy. Otrzymują oni 0,4 swego zarobku. Skazani pod klucz („zatoczenje“), dzień spędzają wspólnie; ci zaś z nich, którzy są obarczeni dłuższym terminem kary, otrzymują $^2/_3$ swego zarobku; zamknięci na krócej mają prawo do całkowitego zarobku i — wyboru roboty. Wreszcie zamknięci w areszcie przebywają razem, ale na prośbę osądzonego z tej kategoryi, może on być zamknięty osobno. Zajmują się oni robotami również według własnego wyboru i korzystają z całkowitego zarobku. Dla przestępców politycznych pozostawiono karę śmierci i zesłanie. Pojęcie o zdradzie państwowej znacznie rozszerzono. Do tej kategoryi weszło dostarczanie prowiantów dla armii czynnej i jej szpitalów, szkodliwych dla zdrowia lub niezdatnych do użytku. W zakresie stosunku rodziców do dzieci, ustanowiono kary za odmowę utrzymania rodziców i za brutalne obejście się z nimi. Rodzice zaś podlegają również karom za demoralizacyę dzieci i za przyczynienie się do cierpień fizycznych. Wreszcie zwiększono także kary za obrazę osobistą w celu zmniejszenia samowolnego szukania satysfakcyi. W końcu zwrócono baczniejszą uwagę na nadużycie zaufania, głównie ze strony kantorów bankierskich i osób, pracujących w prywatnych instytucyach kredytowych. Tak się przedstawiają w ogólnych zarysach główne zmiany w kodeksie. Prawdopodobnie już wkrótce wejdzie on w życie, a więc przedewszystkiem rozpostrze się nad ogniskiem karnem, na olbrzymich obszarach syberyjskich.

Prasa zauralska żywo się zajmuje zamiarem ministeryum rolnictwa — ułatwienia cudzoziemcom pracy około rozwoju przemysłu górniczego na dalekim Wschodzie. Wpłynie to niewątpliwie na szybki i racyonalny rozwój produkcyi, na ogólne ożywienie ekonomiczne tych obszarów dalekich. Ale tym prawdopodobnym rezultatem gospodarki rzutkich i energicznych obcokrajowców nie cieszy się organ tomski, bo przypuszcza, że wejdą tam nietylko cudzoziemskie siły kierownicze, ale i masy robotników obcych. Już i dziś we wschodniej Syberyi przeważa w tych masach żywioł cudzoziemski, chociaż nie europejski. Robotnicy z Chin, Korei i Japonii przybywają tam niemal masowo, ofiarowują swoją pracę tanio i przy skromnych wymaganiach odznaczają się niepospolitą wytrwałością. Ten napływ żółtoskórych budzi nieufność na szpaltach *Sibirskiego Wiestnika*. Widzi on w tym fakcie niebezpieczeństwo, zarówno pod względem politycznym, jak i ekonomicznym. „Jeżeli towarzystwom cudzoziemskim i prywatnym osobom wolno będzie najmować robotników górniczych bez żadnych ograniczeń, to niewątpliwie zwrócą się oni tam, gdzie siłę robotniczą można będzie znaleźć bardzo tanio, tj. do Chin sąsiednich, rojących się od milionów ludu głodnego, chciwie poszukującego zarobku dla kawałka chleba. Pozwalając na masowy najem chińczyków i wogóle rasy mongolskiej, nasz Wschód daleki może bardzo łatwo znaleźć się w takiem położeniu, jak Ameryka południowa, która w ostatnich czasach musiała się chwycić środków nacisku względem wychodźctwa chińskiego.“

A. Czyński.

Z RUCHU KOBIECEGO.

Donia Concepcion Arenal Garcia de Carrasco.

W gronie niewiast, które złożyły bukiety kwiatów na ołtarzu wiedzy naszego wieku, imię Arenal należy do wybitniejszych. Jako umysł, kobieta ta odznaczała się jasnością poglądu, głębokim sądem i wiedzą dorównywającą najbieglejszym legistom, jako człowiek — stała wysoko.

Urodziła się w Ferrol 30 stycznia 1820 roku.*) Ojciec za udział w wojnie z roku 1808 został skazany przez Burbonów na wygnanie. Umarł na obczyźnie nie dożywszy czterdziestu lat. Po jego zgonie córka wróciła do Madrytu, tu w 1847 roku poślubiła Fernanda Garcia Carrasca, znakomitego prawnika, redaktora pisma L'Iberia. Żona pracowała w wydawanym przez męża dzienniku. Zaczęła od wierszy, komedyj i powiastek, ale ogólną uwagę zwróciła na siebie rozprawą o filantropii. Akademia nauk moralnych i politycznych w Madrycie uwieńczyła to dzieło pierwszą nagrodą. Taż sama akademia odznaczyła w podobny sposób rozprawy pani Arenal zatytułowane: „Kolonie karne na zesłaniu“ i „Oświata ludu.“ W r. 1863 wyszedł utwór legistki, przetłómaczony na języki: francuski, angielski, niemiecki, włoski i polski: „Przewodnik dla odwiedzającego ubogich.“ W r. 1868: „Głos wołającego na puszczy,“ w 1879 „Prawo międzynarodowe“ jeden z najlepszych tomów *Biblotheca juridica*. W 1884 autorka wysłała na „Kongres narodowy dobroczynności i poprawy, odbywający się w Saint Louis w Stanach Zjednoczonych, studyum o dzieciach opuszczonych, przetłómaczone na język angielski i ogłoszone w rozprawach kongresu. Nareszcie około r. 1870 założyła w Madrycie dwutygodnik: „Głos litości“ (La voz de la caridad), pismo, które wielki wpływ wywarło w ciągu swego istnienia.

Wśród prac naukowych Donia Arenal nie traciła z oczu kwestyi kobiecej. W książce „Kobieta przyszłości“ (La mujer del porvenir) zwalcza wywody o tak zwanej niższości umysłu kobiecego, w dziele „Kobieta u siebie“ (La mujer de su casa) określiła rolę społeczną kobiety. W jednej z prac rozpatruje przyczyny smutnego położenia kobiety w Hiszpanii, trudności stawiane jej w zarobkowaniu, zaznacza jednak pewien zwrot ku lepszemu.

Jak ojciec, ukochała swą ojczyznę i podczas ostatniej wojny domowej sprawowała obowiązki sekretarki Czerwonego Krzyża.

Zamianowana generalną inspektorką więzień, przez trzydzieści lat na tem stanowisku, nabyła doświadczenia. Jej dzieła, jak powiedział wybitny kryminalista amerykański, Enoch Cobb Wines, rzadkiej oryginalności, głęboko filozoficzne i pisane z taką metodą, że każde zdanie jest zarazem argumentem, — odznaczają się wielką jasnością wykładu. Pisarka umie nastroić się do myśli ogółu i podbić go sobie.

„Przewodnik odwiedzającego ubogich“ zaczyna się od rozpatrywania źródła istnienia biedaka. Jest niem cierpienie. Kim jest ubogi? Dzieckiem, istotą słabą, która cierpi i którą potrzeba bronić i zasłaniać. Dlaczego należy zapoznawać się z jego bytem, odwiedzać go? Aby wzmocnić w nim wolę, podnieść go z przygnę-

*) Materyałów do niniejszej sylwetki dostarczyła mi głównie praca Jakóba de Coussanges: dona Arenal w Revue des Revues 1895 r.

bienia, z odrętwienia moralnego. Pomódz mu materyalnie i ratować jego duszę. Autorka „Podręcznika" wie dobrze, ile błędów i wad przylgnęło do ubogiego, ile robactwa, mięczaków i ryb o potwornych kształtach, przyczepiło się do sinego ciała tego topielca w oceanie nędzy. Ubogi kłamie, jest niedbały, bezładny. „Ale" — odpowiada ona, „nie wiemy co to jest nędza, nie wiemy jak ona każe cierpieć i czuć, jak zmienia moralność swoich ofiar." Ubóstwo z natury swej pociąga złe następstwa. Jesteśmy biedni — mówili wieśniacy irlandcy, gdy im zarzucano brak schludności w izbach. Powoli, powoli, jak uderzeniami młotka, nędza zabija ducha w człowieku, a jeśli są natury, które tej śmierci nie uległy, które zdają sobie sprawę z położenia, zaiste są najnieszczęśliwszemi.

Miłość jedynie może w owe cienie wnieść światło, złagodzić gorycz; Należy odwiedzać biednego, jak swoje dziecię. Słuchać jego historyi, pożałować, poprosić, dać co potrzeba, zganić, otworzyć i swoją duszę, uśmiechnąć się nawet. Nadewszystko pokrzepiać i podnosić. Wynosi się z takich odwiedzin trochę wesela. Są osoby, które wątpią o swych siłach, zapatrują się czarno, które często zawiodły się mimo gorliwych usiłowań, nie osiągnęły dobrych rezultatów. Ale może zawód ich był chwilowy, kto wie, czy później słowa ich nie przypomniały się tym, do których mówiły. Zło i dobro bowiem przebijają świat, jak lawiny stoki gór alpejskich. Nie wiadomo jaki kamyk oderwał się, nie wiadomo gdzie i z jakiej skały, ale w każdym razie tkwiła w oderwaniu się jakaś przyczyna, działająca szeroko, a pociągająca za sobą skutki tylko w pewnych punktach.

Tę małą książeczkę tak zaróżowia jutrzenka nadziei, że nawet chmury, na jej sklepieniu zawisłe, przybierają odcień wesoły. „Podręcznik dla odwiedzającego więźniów" ponury. Niestety, dantejski napis „La sciata ogni speranza" i teraz możnaby najczęściej pisać nad bramami więzień; po kilku latach pobytu karany zmienia się nie do poznania.

Podręcznik ten zawiera rady dla odwiedzających i projekty pewnych reform więziennych. Pożytek z odwiedzania przestępców oddawna stwierdzono; w Holandyi, Anglii i Francyi wizyty są częste. „Towarzystwo Howarda w Londynie," Suringer w ziemi wiatraków, „Stowarzyszenie protestanckie kobiet zajmujących się więzieniami" w Paryżu zaleca je i praktykuje gorąco. Kongres sztokholmski oświadczył się za ową metodą.

Przedewszystkiem — według pani Arenal — odwiedzający winien wyszukać w każdym więźniu pierwiastki ludzkie, zbrodnicze i warunki osobiste. Przestępca jest człowiekiem, jak inni, pewna tylko cząstka jego duszy odmienna. Jak duża — należy określić. Im mniejsza, tem łatwiej o wpływ na winnego, tem prędzej ją można wyplenić. Należy dowiedzieć się, jakie były dzieje jego, jaką jest wina, jak teraz prowadzi się, a potem dopiero poznać go, kazać mu mówić i szukać iskier w przygaszonem ognisku, któreby można rozdmuchać.

Nietylko Donia Arenal wierzy w możność poprawy przestępców. Dyrektor domu karnego w Vridsloeseblle w Danii, pan Ammitzboell, oświadczył na kongresie w Petersburgu, iż na 3,000 więźniów, których miał dotąd w swym ręku, ani jeden nie był niepoprawny. Kto twierdzi przeciwnie, dowodzi tylko nieznajomości duszy i warunków społecznych, nie wie jak drobna odległość dzieli zbrodnię od czynów, które w życiu nie tylko uchodzą bezkarnie, ale nawet nie zmniejszają szacunku, dla tych, co je spełnili.

Regulamin powinien uszlachetnić smak i wzmocnić wolę więźnia. Oprócz zajęcia należy dać aresztantowi pewne wykształcenie, skierować jego umysł ku czemuś wyższemu. Te dusze przylegające ku ziemi, mają także skrzydła. Straciły one sprężystość, bo nie były nigdy używane, ale można przywrócić im bodaj cząstkę siły, za użyciem pewnych środków. Pani Arenal proponuje na niedziele wykłady popularne i lekturę. Dobrze by było — tu twierdzi — założyć przy więzieniach czasopisma; nie odcinałoby się w ten sposób więźniów od świata, nie poznać by było po nich, jak teraz, że byli wyklęci, bo wyszedłszy z ciemnicy po kilku lub kilkunastu latach, nie wiedzą co się dzieje i działo. Rozwijać potrzeba smak estetyczny nie zapominając o celach moralnych; do tego posłużyć może album miedziorytów, przedstawiających sceny z historyi więzień.

Z drugiej strony powinno się wzmacniać w więźniu jego wolę, dawać mu o ile można wolny wybór, nie obrażać jego godności. Nie deptać, co w nim zostało dobrego, ale pielęgnować.

Sceptycznie natomiast pisarka traktuje tymczasowe uwalnianie karanych. Sądzi, że często nadzieja swobody rozwija hypokryzyę.

Za wpływem pani Arenal Hiszpania zaprowadziła sporą ilość ulepszeń więziennych. Jej zawdzięczyć należy w znacznej części założenie w Hiszpanii i Francyi stowarzyszeń, które opiekują się więźniami uwolnionymi, pomagają im stawiać pierwsze kroki i w dalszym ciągu wywierają na nich wpływ moralny. Ona — co najważniejsza — wlała w masy szerokie zainteresowanie się i współczucie dla ubogich i dla piętnowanych hańbą, liczyła, że jedni i drudzy są — najczęściej z winy społeczeństwa — płonkami, które można uszlachetnić i przemienić na drzewa owocowe. I broniąc tych zasad, stała nietylko w szeregach umysłów spółczesnych, ale wybiegała przed nie, wznosząc sztandar przyszłości.

W. Bugiel.

Z DZIEDZINY SZKOLNEJ.

Kwestya szkolna ze wszystkiemi usterkami i dolegliwościami najbardziej wypływa na wierzch wtedy, gdy ją społeczeństwo najsilniej w życiu odczuwa, tj. w okresie egzaminów, a więc ciężkich zawodów i rozczarowań. Co rok słyszymy narzekania rodziców, co rok czytamy notatki w pismach o liczbie kandydatów w trójnasób i więcej przewyższającej ilość miejsc wolnych. Od lat dziesięciu tę sprawę bacznie śledzę, uważnie liczę i notuję nowe szkoły różnych typów, powstające w całem państwie. Przybyło ich w tym okresie stosunkowo dużo, wprowadzono przytem wiele zmian w systemie szkolnym, opracowano typy całych grup szkół zawodowych i pozwolono zamożnym jednostkom zakładać je i żądać pomocy od państwa. Pomimo to liczba kandydatów wzrasta widocznie z rokiem każdym. Od progów wszystkich szkół odchodzi trzy, cztery, a nawet sześć razy więcej kandydatów, niż one zmieścić mogą. Co się dzieje z tą młodzieżą zawiedzioną? Czeka ona rok cały nowego terminu, przygotowywa się do klasy wyższej z wielkim wysiłkiem i kosztem i znowu w tej grze na szczęście odchodzi z niczem, ażeby dalej w domu przysposobić się o szczebel wyżej i z niepewnością, z drżącem sercem czekać na chwilę wypróbowania zdolności i wiedzy.

Gdy taki nadmierny napływ spostrzeżono u podwoi gimnazyalnych, gdy przy tem powszechną uwagę zwrócił fakt porzucenia zakładu przed jego ukończeniem, czy to z braku zdolności, czy środków, gdy młodzież patentowana zaczęła napływać do uniwersytetów i tam również porzucać kursy po paroletniej wędrówce z wydziału na wydział, lub po pierwszej porażce egzaminowej, gdy wreszcie młodzi ludzie po skończeniu uniwersytetu nie mieli co robić i walczyli z niedostatkiem — wtedy zaczęto mówić o „nadprodukcyi inteligencyi" w sposób dość płytki, bez znajomości życia i jego zjawisk. Powstała naganka, spędzająca młodzież do szkół fachowych. Był to zwrot o tyle racyonalny, że ludzi fachowych w różnych gałęziach mieliśmy wogóle zbyt mało, że zatem przy rozwoju różnych odłamów produkcyi musiano się posługiwać siłami obcemi. Lecz oto okazało się, że nietylko zakłady wyższe specyalne, lecz i średnie nie mogą zmieścić nawet małej cząstki kandydatów. Oczywisty zatem jest brak szkół zarówno filologicznych, jak i fachowych.

Podobno według pogłosek, krążących w prasie rosyjskiej, postanowiono zapobiedz ogromnej liczbie odmów, dotykających kandydatów do wyższych zakładów specyalnych. Ale w jaki sposób? — Nie chodzi o otwarcie nowych zakładów lub przyjmowanie większej liczby młodzieży do szkół istniejących; lecz dla uszczuplenia rzeszy kandydatów do tych zakładów ma być zmniejszona liczba młodych ludzi, uprawnionych do przekraczania progów przybytków wiedzy. Owi kandydaci rekrutują się głównie ze szkół realnych, których siódma klasa daje prawo wstępu do zakładu wyższego, gdy szósta zapewnia tylko przywilejo w zakresie służby wojskowej. Podobno więc cała reforma ma się opierać na utrudnieniu przechodzenia uczniów z klasy VI do VII-ej. Prawo przejścia ma przysługiwać tylko tym, którzy na egzaminie otrzymają nie mniej, niż $3\frac{1}{2}$ z każdego przedmiotu. W ten sposób reforma owa zmierzać będzie do tego, ażeby uczniowie, kończący sześć klas i niedopuszczeni do siódmej dla braku odpowiedniego stopnia, szli do służby wojskowej lub cywilnej albo średnich szkół technicznych.

„Niestosowność takiego środka — piszą *Rusk. Wied.* — rzuca się w oczy. Czyż można uznawać za rzecz decydującą o dalszej karyerze stopień niezupełnie dostateczny, pozyskany przez chłopca 16 — 17-letniego? Niesłusznie jest przesądzać z góry los młodzieńca i zamykać przed nim podwoje zakładów wyższych. Pedagodzy wiedzą dobrze o tem, jak często zdolności i umysł ucznia rozwijają się dopiero pod koniec kursu i że z takich uczniów wychodzą ludzie zdolni i dzielni. Zresztą klasa siódma uzupełnia wykształcenie realne i niepodobna utrudniać wstępu do niej uczniom, którzy przeszli klas sześć. I dziś już egzaminy wstępne do zakładów wyższych zabezpieczają je dostatecznie przed kandydatami niedość uzdolnionymi. Jeżeli istotnie takie rozporządzenie ma się stać faktem, to jesteśmy przekonani, że się długo nie utrzyma. Tak liczne odrzucanie kandydatów, jak obecnie, jest stanowczo rzeczą nienormalną; zapobiedz temu trzeba koniecznie, ale nie drogą zmniejszania rozmyślnie liczby uprawnionych do wstępu, lecz przez dalszy rozwój szkół technicznych, za pomocą umożliwiania większej liczbie młodych ludzi osiągnięcia w całej pełni tego wykształcenia, którego potrzeba daje się uczuwać tak dotkliwie."

Istotnie, trudno brać na seryo powyższą pogłoskę wobec tego, że zadaniem ministeryum przecież jest ułatwienie a nie utrudnienie nauki młodzieży. Nie zgadza się to ani z programem, ani dążnością tej instytucyi sterniczej. Pocieszajmy się więc tem, że pogłoska powyższa jest zielskiem reporterskiem, urosłem na jałowym, suchym gruncie kanikularnym; albo że jakiś postronny miłośnik niefortunnych pomysłów wystąpił z takim projektem. Być może, twórca owego wniosku, należy do tych ludzi, którzy uparcie utrzymują,

że istnieje nadmiar inteligencyi w zakresach ogólnych i fachowych. Rozejrzyjmy się uważniej w życiu, a powie ono nam wręcz co innego: przy pozornym nadmiarze brak ludzi zdolnych na wszystkich polach pracy. Wszelkiego rodzaju inteligencya przyrasta ślimaczo do miejsc zakolonizowanych już dawniej przez zdolnych, rzutkich, lub mających szczęście. Gdy jednak ci utrwalili swój byt i powodzenie, tamci znów ze świeżo zdobytymi patentami starają się z nimi współzawodniczyć i najczęściej przez długie lata kołaczą bezskutecznie, tracą siły, zdolności i energię w ciągłej walce z niedostatkami życiowymi. Jednocześnie zaniedbani i pogardzeni na szerokich przestrzeniach kraju jęczą, skarżą się i cierpią z braku niezbędnych pracowników, z konieczności poddają się wyzyskowi znachorstwa i szarlataneryi. Dotyczy to „profesyj wyzwolonych." Nie lepiej z fachowcami. Ogromne rzesze kołaczą o pracę, a jednocześnie różne przedsiębiorstwa handlowe, przemysłowe i techniczne uskarżają się na brak ludzi odpowiednio uzdolnionych.

Gdy więc na olbrzymich obszarach państwa mogłyby znaleźć pracę produkcyjną dziesiątki tysięcy lekarzy, prawników, inżenierów, chemików, techników, ogrodników, weterynarzy itd., ludzie ci, straciwszy lat kilka a nawet kilkanaście na naukę, nie wiedzą, co mają robić z sobą i bardzo często szukają zarobków, niemających nic wspólnego z tą gałęzią pracy, do której się przysposobili. Tymczasem rozwój wszelkich dziedzin tudzież stworzenie nowych zależy od rzesz ludzi uzdolnionych, od umiejętnego zastosowania i zużytkowania ich wiedzy w pracy produkcyjnej. Obecne atoli stosunki życiowe dają objaw wielce nienormalny. Młodzież, z wyższem wykształceniem, nie mogąc znaleźć pracy właściwej, ima się lada jakiej, nawet z poniewierką własnej godności. Nic też dziwnego, że sfery ministeryalne, chcąc tę młodzież przed poniewierką ochronić i dać zarobkowanie odpowiednie do nakładu na naukę, ułatwia jej wstęp na posady do wszelkich instytucyj kredytowych, a w ostatnich czasach w osobnym okólniku wezwano ludzi z wykształceniem uniwersyteckiem do obejmowania nowych placówek urzędniczych, powstających z powodu państwowej organizacyi monopolu wódczanego.

Obok trudnego wstępu do wszelkiego rodzaju zakładów naukowych, wobec nadmiaru kandydatów, ta stosunkowo nieliczna garstka szczęśliwych, która się dostała do sal szkolnych, ma przed sobą innego rodzaju trudności: drożyznę książek i zbyt częstą ich zmianę. Dotyczy to niettylko zakładów męzkich, ale i żeńskich. Opowiadano nam wielce charakterystyczne wypadki przesadnego rygoru na pensyach. Uczenice obowiązane są z początkiem roku przynieść bezwarunkowo wszystkie zalecone książki, bez względu, że niektóre z nich mogą być potrzebne za kilka tygodni lub parę miesięcy; nadto muszą poczynić hurtowne zakupy kajetów, przepisanego formatu i koloru. Naraz po kilku dniach spada jak piorun nagłowy biednych dziewczynek i ich rodziców nowe żądanie: poprzednie książki i kajety na nic! Trzeba kupować nowe. Tamtych zaś nawet zwrócić nie można chociażby za połowę ceny, bo księgarz raz sprzedawszy, nie chce ich przyjąć bez względu, że mogą być kartki nierozcinane. I ma słuszność; bo jakżeby kupiec wyglądał, gdyby musiał przyjmować z powrotem towar sprzedany? Antykwaryusz zaś chętnie kupi książki wybrakowane, ale za tę, która kosztuje 1 rs 50 kop., da 5 kop. A jednak to zło dałoby się łatwiej usunąć, niż wszelkie inne. Książka szkolna nie powinna być przedmiotem spekulacyi, a pedagogia nie robi znowu tak szalonych postępów, żeby podręcznik dobry jednego roku, nie miał już żadnej wartości na drugi, albo żeby parowierszowe uzupełnienie w nowem wydaniu miało uczniom odsłonić szersze widnokręgi wiedzy. Wydawnictwo tych podręczników powinien wziąć na się ster spraw oświaty, a sprzedaż—władza szkolna. Wtedy książki będą tanie i nie staną się przedmiotem wyzysku. Przytem zakłady naukowe powinny być pośrednikami w zbycie uczniom ubogim podręczników niepotrzebnych już dla tych, którzy przechodzą do klas wyższych. Stracą na tem antykwaryusze, dorabiający się znacznych majątków na ubóstwie, ale zyska młodzież niezamożna, a nadwyżka, obecnie wydawana na owe przedmioty, pójdzie na lepsze odżywianie lub odzież dla młodzieży.

Zen. Piet.

LIBERUM VETO.

Liberum veto powracających do miasta. — Radość tych, których ono karmi szczęściem. — Drobne pyłki życia wobec majestatu natury. — Ciekawy chłop i zakłopotany mędrzec. — Przykazanie zdrowego rozsądku. — Projekt rozdziału o cnotach. — Wystawa ogrodnicza.

Nie mylę się chyba, przypuszczając, że w tej chwili najwięcej zwolenników ma *liberum veto*, odzywające się w duszach tysięcy tysięcy ludzi po skończonem lecie. Gromady młodzieży szkolnej rzucają smutny wzrok na ukończone wakacye; wszelkiego rodzaju niewolnicy pracy obowiązkowej ze ściśnionem sercem żegnają swoje urlopy; ubogie dzieci, przyjeżdżające z kolonij, rozmyślają boleśnie w dusznych izbach lub na cuchnących podwórzach o raju wiejskim. I to, co zamożne, i to, co biedne, i to, co pragnie tylko dla płuc świeżego powietrza, i to, co pożąda czystego mleka, starzy, młodzi i niemowlęta, okryci i nadzy, syci i głodni — wszystko protestuje przeciw powrotowi do miasta, do ciężkich trudów, fałszowanych pokarmów, szarych murów i zaduchu. W tej ogromnej masie smutnych tylko może najbezmyślniejsze z istot — modne damy, które przez całe życie łatają niedostatki swych wdzięków rozmaitymi wymysłami mody i rozdzierają sobie buzie ziewaniem wobec najpiękniejszych widoków natury, tylko może ich mężowie, którzy patrząc na gwiazdy, chcieliby je użyć jako marki do gry w karty — tylko ci po nudach lata wpadają rozradowani do swoich buduarów, salonów i resurs. Ta tęsknota do przyrody, oprócz stałych swych przyczyn, tkwiących w miłości dzieci do matki, ma dla ludzi dojrzałych jeszcze swoje czasowe źródło. W naszej epoce miasta są ogniskami życia duchowo-społecznego, które w nich uderza najmocniejszem tętnem. Ale nie zawsze objawia się ono silnie, nieraz ledwie je wyczuć można. Tak jest właśnie teraz, w okresie wyczerpania i starczego osłabienia. Płynąc z całą tą ławicą śmiecia, wiórów i odpadków kultury, nie rozpoznajemy dostatecznie ich nicości; ale gdy oddalimy się nieco od tego prądu, gniew lub wstręt nas przejmuje na myśl o tem, co nas najbliżej otacza. A zwłaszcza takie uczucia ogarniają nas, gdy owa świadomość błyśnie nam wobec majestatu natury. Bo przez wązką łodyżkę trawy, przez listek kwiatu, jak przez soczewkę, możesz dojrzeć niezgłębioną otchłań tajemnic wszechświata i bezmiar jego potęg; przez duszę filisterską, jak przez glinianą skorupę, nic nie zobaczysz. To, co się najbardziej rozpiera, błyszczy, wrzeszczy, imponuje w mieście — jest prawie bez wyjątku małem; to, co się kryje w skromności i pokornie milczy na wsi — jest prawie bez wyjątku wielkiem. Tu zapominamy ciągle, że nasze mizerne sprawy, ambicye, dążenia poruszają się na tle nieskończoności czasu i przestrzeni, są zaledwie dostrzegalnymi robaczkami w ogromie zagadek i sił wszechświata; tam musimy o tem pamiętać ciągle. Jako oświeceni europejczycy zastanawiamy się codzień nad pytaniem: dlaczego londyński lord-major odwiedził prezydenta rzeczpospolitej francuskiej — albo: czy bufiaste rękawy sukien kobiecych będą obowiązujące na rok przyszły — albo: czy trybuny na polu wyścigów konnych odpowiedzą wymaganiom publiczności — albo: czy komedya p. X. p. t. „Pies podkuty" utrzyma się w repertuarze? Przypuśćmy, że na każde z tych pytań zdobyliśmy odpowiedź i szczęśliwi tryumfem wyjechaliśmy za miasto. Tam spotykamy chłopa, który nas zagaduje:

— Wielmożni panowie, objaśnijcie prostego człowieka, skąd kartofel wie, jaka jest pora roku. Przecież jeżeli go w zimie osypię ziemią w dole lub ciepłej chałupie, to powinien myśleć, że jest wiosna. Tymczasem on czeka do maja — i przedtem łodygi nie puści. Na dwór nie wygląda, ludzkich rozmów nie słyszy, kalendarza nie ma, skądże wie, kiedy mu zacząć rosnąć? Niewątpliwie daje mu znak ziemia, która go ze snu budzi i woła: wstawaj, już czas! Ale jak się ona z nim porozumiewa? Zresztą skąd i ona wie, leżąc w chacie, piwnicy lub głębokich warstwach, gdzie przecież nie marznie, kiedy przypada wiosna?

Najuczeńszy europejczyk nie będzie umiał ani jednem słowem odchylić ch łopu rąbka tej wielkiej tajemnicy; tylko, jeżeli nie nabił sobie w mózg gwoździ politycznych, wintowych, teatralnych itp., zrozumie, że to jest istotnie tajemnica wielka, większa, niż odwiedziny lorda-majora, niż bufiaste rękawy i trybuny wyścigowe. Wszystko to można przeniknąć, a przeniknąwszy, uczuć pustkę w głowie; ale najgenialniejszy mędrzec nie odpowie, czemu nasza nadwiślańska wierzba, przesadzona w grunt Włoch lub Hiszpanii, zachowuje swój rodzimy zwyczaj i zrzuca na zimę aż do naszej wiosny liście, podczas gdy wszystkie drzewa tamtejsze nie pozbywają się swej zielonej szaty. Wielu ją badało, a ona wciąż milczy i nie chce zdradzić tajemnicy swego życia.

Ludzie ze swych stosunków, pragnień i celów wydobywają rzeczywiście nieraz wielkie idee, które są godne przyrody — ale nie w obecnej chwili. O, nieba, jakiż widok przedstawiają często ich marzenia, zachwyty i wysiłki energii! Przed kilku tygodniami gazety ogłosiły, że jakiś męczennik idei zamierza drogę z Paryża do Tulonu przejść na czworakach i że podobno zawiązuje się klub do uprawy tego „sportu." Brawo, tysiąc razy brawo! Bo czyż może jakikolwiek inny obraz wierniej i wymowniej usymbolizować dumę i nastrój naszego wieku, nad wyścig ludzi, spieszących do mety na rękach i nogach?

Wszystkie te jednak rozmyślania i szydercze uśmiechy nad miłością upodobań ssaków dwunożnych, które czasem pragną być czworonożnymi, są bezcelowe i bezpłodne. Trzeba bowiem pogodzić się z rzeczywistością, której zmienić nie można, i skoro wróciliśmy do miasta, musimy rozpocząć życie miejskie, chociażby nieraz wypadło urządzić między Suwałkami a Warszawą rekord wyścigowy na czworakach. Z końcem lata kończy się panowanie wsi, tj. poezyi, filozofii natury i tym podobnych zabawek umysłu, któremi człowiek praktyczny głęboko gardzi. Z początkiem jesieni odzyskuje swe prawa i władzę trzeźwy rozsądek, który nami rządzić będzie aż do pierwszych kwiatków i śpiewów słowika. Temu panu winniśmy teraz posłuszeństwo, a on nam rozkazuje:

Pamiętaj, Pawle, że obok ciebie Piotr założył również sklep z rękawiczkami, który zamierza ci odciągać klientów upewnianiem ich, że twoje rękawiczki są wyrabia-

ne ze skóry szczurów, trutych na stacyach kolei Nadwiślańskiej. Ty głoś, że jego towar pochodzi z topionych szczeniąt.

Pamiętaj, Janie, że twój współzawodnik skupuje zboże kradzione przy przeładowywaniu wagonów i dlatego może sprzedawać mąkę taniej. I ty postaraj się o podobne źródło.

Pamiętaj, Macieju, że twój przyjaciel lepiej wymyśla na żydów i dlatego więcej sprzedaje margaryny, niż ty. Musisz mocniej krzyczeć i zaręczać, że masło żydowskie sprowadza cholerę.

Pamiętaj, Józefie, że jeżeli Marcinowi nie podstawisz nogi, on ci nie nadstawi pleców, po których możesz wskoczyć na przeznaczoną dla niego posadę.

Pamiętaj, Grzegorzu, że towarzystwo reporterów jest kapitułą, rozdającą legię honorową wszelkiej sławy.

Pamiętaj, Adolfie, że twój klejnot rodzinny nabierze blasku wtedy dopiero, gdy go oprawisz w złote ramy posagu bogatej żydówki.

Pamiętaj, Pinkusie, że mądre bankructwo bogaci, a głupie rzetelność rujnuje.

Pamiętaj, Izabello, że twój mąż, jak kuglarz, powinien połykać rozżarzone węgle, a wyciągać z ust dla ciebie sztuki materyi i aksamitu.

Pamiętaj, Waleryo, że przyjemniejsza jest nienawiść bogatego starca przy świetle elektrycznem, niż miłość ubogiego kochanka przy księżycu.

Pamiętaj, Stasiu, że więcej wart srebrny rubel, niż najświetniejsza gwiazda. Więc szukaj sobie męża, który ci da ruble, a nie gwiazdy.

Pamiętaj, Apolinie, że jeżeli nie możesz oczarowywać ludzi śpiewem, przerażaj ich szczekaniem.

I tak dalej.

Czyż w tem przykazaniu zdrowego rozsądku nie ma wcale rozdziału o cnotach, poświęceniu, miłości? Owszem, jest, ale dopiero w projekcie, nad którym lata obecne jeszcze rozprawiają.

Jest to niemal zuchwalstwem i złym konceptem, ażeby w chwili otwarcia „sezonu jesiennego" namawiać do zwiedzenia wystawy ogrodniczej ludzi, którzy wróciwszy z letnich mieszkań, wołają: ach, już tej natury, krajobrazów z burakami i pomidorami mamy dosyć! To też wintowiczów, buduarówek i salonowego ptactwa nie namawiam wcale do oglądania owej zieleniny, zwłaszcza że ona w chwili wyjścia bieżącego numeru *Prawdy* będzie zamknięta. Jeżeli wszakże zajrzeli do tej rozkosznej oazy ci wszyscy, którzy z tęsknotą i żalem wrócili do miasta, prawdopodobnie doznali rozkosznych wrażeń. My temi wrażeniami podzielimy się z czytelnikiem w przyszłym tygodniu, dziś tylko powitaliśmy wonny bruk i — jakby powiedział Słowacki — tęczowe mury miasta.

Poseł Prawdy.



W DALI.

Łódź. W ostatnich czasach daje się spostrzegać ruch parcelacyjny, wzmagający się coraz bardziej w okolicach Łodzi. Jest-to naturalny wynik rozwoju przemysłu; wielkie ognisko wytwórcze rosnąc ciągle zagarnia grunt pod budowę zakładów fabrycznych, jednocześnie wsysa wszystkie siły robotnicze wiejskie. Ziemianin przy ogólnych złych warunkach, pozbawiony rąk do pracy, musi sprzedawać swe grunty, może nie zawsze korzystnie, gdyż sprytni przemysłowcy rozumieją doskonale położenie, wiedzą, że nie dziś to jutro rolnik sam do nich przyjdzie i zaproponuje sprzedaż. Wogóle wszakże właściciele działkujący swe majątki w promieniu wielkiej produkcyi lepiej wychodzą niż inni, gdyż nawet przy najzręczniejszej polityce ze strony fabrykantów, tj. ociąganiu się z kupnem i udawaniu obojętności, ceny gruntów idą w górę, bo popyt nie aż nadto widoczny. Nie zawsze przemysłowcy wchodzą w bezpośrednie stosunki z ziemianami; wielką tu rolę odgrywają aferzyści, spekulanci, działający z pożytkiem dla własnej kieszeni a na niekorzyść obu stron. Dobra Chojny p. Krauzego wsiąkają w miasto, tak iż wkrótce znikną one zupełnie pod kamienicami i fabrykami. To samo czeka Rudę Pabjanicką na granicy pow. łódzkiego i łaskiego, Jagodnicę Złotą (pow. łódzki), Petrokonie (pow. łaski). W dalszym promieniu od ognisk fabrycznych kupują ziemię koloniści lub ogrodnicy, którzy rzeczywiście przy zabiegliwości pewnej mogą robić i świetne interesy. Na parcelacyę skazane są również dobra. Kazuby Stare, Wola Pszczółecka, Czarny Las, Bachorzyn. — Ruch przemysłowy i handlowy w mieście ożywia się coraz bardziej. Jedno z towarzystw akcyjnych buduje gmach, w którym pomieści 300 warsztatów tkackich; produkcya różnych zakładów wzmaga się, kupców przybywa coraz więcej z dalekich stron. Również pewien ruch daje się spostrzegać w wielu ogniskach gubernii piotrkowskiej. W Radomsku jedna fabryka akcyjna buduje tartak parowy. W Widzewie wykończają suszarnię i fabrykę cykoryi; w Borownie powiększono gorzelnię parową, która wkrótce otrzyma dystylarnię. W Kodrębiu powstaje wapiennik z zastosowaniem po raz pierwszy w kraju paleniska nowego systemu, urządzonego na torf. — Powstał projekt połączenia Łodzi linią telefoniczną z Ozorkowem.— Dyskonto weksli w mieście zniżyło się o [illegible] Banki miejscowe pobierają od 7 do 7½%. — Koncesyę na prowadzenie teatru polskiego w Łodzi otrzymał p. Michał Wołowski. — — Przemysłowcy w Zduńskiej woli, jak donosi *Tydzień Piotrkowski*, nie wezmą udziału w wystawie łódzkiej, gdyż przyrzekli współudział swój na wystawie kaliskiej. — Dn. 14 sierpnia spaliła się w Łodzi fabryka „Krusche i Beutsch. Straty obliczają na 70,000 rs. — Pogrzeb Heintzla odbył się z niebywałym przepychem. Obie fabryki zmarłego, w Widzewie i w Łodzi, z powodu uroczystości pogrzebowych zawiesiły na dwa dni robotę. — Na ostatnem zgromadzeniu cechu garncarzy postanowiono, że każdy terminator obowiązany będzie uczęszczać do niedzielnej szkoły rzemieślniczej. Bez świadectwa ukończenia tej szkoły nie może być wyzwolony.

Mińsk. W mieście powiatowem, Bobrujsku, otworzono kursy rzemieślnicze przy miejscowej szkole żydowskiej. Jeszcze w r. 1890 starozakonni obywatele miasta złożyli na ten cel rs. 8,000. Takie same kursy istnieją z wielkiem powodzeniem w Mińsku. — Pożary i w roku bieżącym poczyniły znaczne spustoszenia w całej gubernii. Oprócz wsi, domów i zabudowań pojedyńczych spaliło się kilka miasteczek, między niemi wybitniejsze: Łojów nad Dnieprem w pow. rzeczyckim, zamożne i handlowe. Ocalało tam zaledwie kilka domów. Pastwą ognia padły nawet łodzie, naładowane zbożem, tudzież tratwy. Miasteczko żadnej straży nie posiada, zbudowane było przeważnie z drzewa, dość gęsto, więc wszystko poszło z dymem tak dalece, że zaledwie trochę ruchomości zdołano uratować. Spłonęły także Lachowicze w pow. słuckim, wreszcie Słuck ucierpiał również. Smutne doświadczenie lat poprzednich zmusiły niektóre z tych siedlisk do przeciwdziałania klęsce. Tak np. Nowogródek, Nieśwież, Kopyl i inne stworzyły straże ogniowe, które chociaż posiadają dużo braków, mogą być jednak jaką taką pomocą. Miały już one sposobność działać skutecznie. — Wielkie dobra Domaszewicze w pobliżu Baranowicz, stacyi kolei Moskiewsko-Brzeskiej, przeszły niedawno od Lejów do p. Murawjewa, marszałka szlachty mińskiej. Ogromny klucz zamirski wraz z miasteczkiem Mir i ruinami zamku od księżnej Hohenlohe nabył ataman kozacki ks. Światopełk - Mirski. Kupił on również od spadkobierców E. Brochodzkiej dobra Horodziej.

Kijow. Staje się coraz prawdopodobniejszą pogłoska o projekcie podziału gub. podolskiej na dwie z przekształceniem miasta powiatowego Winnicy na gubernialne, obok Kamieńca. Jednocześnie w związku z tem obiega inna wieść o przeniesieniu władz powiatowych z Jampola do Szarogrodu.— Z rozporządzenia administracyi miejscowej odbywa się w Kijowie spis wszystkich osób, zajmujących się spekulacyą giełdową. Dotychczas zebrano informacye przeszło o stu spekulantach tego rodzaju. Spis ten jest w związku z przedsięwzięciem środków administracyjnych dla opanowania gry giełdowej. — Samowolne wymierzanie kary złoczyńcom przez włościan przybiera ogromne rozmiary. Oto jaki obrazek kreśli *Kijowskie Słowo*: „Podczas ostatniego jarmarku w miasteczku Sarny (pow. lipowiecki) tłum zebrany na rynku spostrzegł obecność dwóch znanych koniokradów. Natychmiast jednego z nich pochwycono i literalnie zmiażdżono uderzeniami drągów, luszni, wreszcie obcasów. Nim policya przybiegła, na ziemi leżała bezkształtna masa ciała ludzkiego, a winnych zabójstwa niepodobna było zatrzymać. Następnie znowu dostrzeżono drugiego złodzieja koni i tego w kilka chwil zabito kijami. Zwyczaj wymierzania sobie sprawiedliwości na koniokradach, lub też podejrzanych o udział w kradzieży koni, tak się rozpowszechnił, że nie ma tygodnia, by nie dało się słyszeć w okolicy o zabójstwie, dokonanem przez rozjątrzonych kradzieżami włościan. Pomimo to kradzieże nie ustają i doraźne sądy widocznie nie przestraszają koniokradów".

Odesa. Zapowiedziano tu zjazd zwolenników języka międzynarodowego. Na uroczystość tę będą zaproszone osoby, które pracowały nad utworzeniem owej mowy, a więc p. p. Schleyer, autor znanego „Volapücku", mającego duże powodzenie przed pojawieniem się esperanto; p. Loth, autor języka „kosmopolit", i inni. Wszystkich uczestników będzie do 200. Oprócz tego mają być zaproszeni zwolennicy języka „esperanto" hr. Leon Tołstoj, Wł. Korolenko, znany lingwista Maks Müller, sekretarz międzynarodowego kongresu filozoficznego Henry Filipps, prezes peterburskiego towarzystwa „Espera" p. Analiszyj-Lefleur, redaktor gazety „Pośrednik" i redaktor wychodzącej w Niemczech gazety „Esperantisto". Kierownikiem zjazdu będzie autor języka „Esperanto" p. Samenhof z Warszawy. Debaty prowadzone będą w języku „esperanto". Jako miejsce zjazdu miano obrać początkowo Moskwę, potem Warszawę, aż wybrano nareszcie Odesę, gdzie jest najwięcej zwolenników „esperantyzmu". — Nowe Towarzystwo żeglugi parowej na morzu Czarnem zacznie działać z początkiem roku przyszłego. Wszystkie jego statki mają być szybko-chodzące, na wzór parowców, kursujących między Anglią a Francyą. Dyrektor admirał Żytków wraz z głównym inżenierem wyjeżdżają do Anglii dla zakupienia nowych statków. Towarzystwo wypuszcza seryę akcyi na milion rubli.

Moskwa. Rada miejska postanowiła, ażeby Moskwa wzięła udział w wystawie wszechrosyjskiej. Na budowę pawilonu i inne roboty większe przeznaczono 15,000 rs.. Na wystawie tej oddział budowy maszyn i budowlany ma być otwarty między 1 a 8 ym grudnia; hodowli inwentarza rasowego—między 9 a 14-ym, bydła na rzeź—między 10 a 18-ym. Najwięcej deklaracyi nadesłano do oddziałów: mleczarstwa, melioracyi, warzywnictwa i ogrodnictwa.—W ogrodzie zoologicznym dn. 14 września otwarty będzie konkurs hodowli ptactwa, urządzony przez Towarzystwo aklimatyzacyjne. Fabrykanci moskiewscy starają się o utworzenie Banku azyatyckiego. — Dn. 8-go września otwarto w Moskwie zjazd przedstawicieli zakładów poprawczych. Nadto udział biorą lekarze i hygieniści tudzież profesorowie. — W Moskwie r. b. rozpoczyna swoją działalność Towarzystwo popierania rozwoju fizycznego wśród młodzieży. Założycielami są: profesorowie, pedagodzy, lekarze oraz kilku dygnitarzy. Celem towarzystwa jest: 1) rozpowszechniać prawidłowe poglądy na zadania rozwoju fizycznego, zaznajamiać z racyonalnymi sposobami wychowania fizycznego i wzmacniania zdrowia; 2) dopomagać rodzicom i wychowawcom w urzeczywistnieniu metod wychowania fizycznego kształcącej się młodzieży; 3) ułatwiać ludziom dojrzałym, zajmującym się pracą umysłową, ćwiczenia fizyczne i 4) wywarzania odpowiednich nauczycieli ćwiczeń fizycznych. — W Kazaniu powstaje szkoła sztuk pięknych z oddziałami: ma-

-larstwa, rzeźby, medalierstwa i architektury z klasami teoretycznemi i ogólnokształcącemi. Zakład pozostawać będzie pod kierunkiem Akademii petersburskiej.

Spis powszechny. Do jednodniowego spisu ludności w całem państwie powołane będą liczne szeregi ludzi. Już dziś tworzą się komisye tymczasowe; oprócz głównej, w stolicy, działać będzie osiem innych: w Petersburgu, Moskwie, Odesie, Mikołajowie, Warszawie, Kronsztadzie, Sewastopolu i Kerczu. Nadto powstanie wiele pomniejszych w powiatach, okręgach, tudzież niektórych miastach. Wszystkie te instytucye składają się z przedstawicieli ministeryów spraw wewnętrznych, skarbu i wojny oraz miejscowych zarządów administracyjnych. Miasta i powiaty przy wykonywaniu spisu dzielą się jeszcze na obwody. „Centralizacya — piszą *Rusk. Wied.* — oraz warunki, że spis ma być dokonany głównie siłami administracyjnemi, stanowi charakterystyczny rys całego systemu. Pod tym względem idzie on dalej, niż europejskie. Od spisów angielskich różni się on tem, że pozostawia organowi centralnemu szeroką władzę — wyjaśniania prawa w swych instrukcyach i rozporządzeniach, gdy w Anglii procedura we wszystkich szczegółach przewidziana jest prawem. Od pruskiego system rosyjski różni się tem, że ogranicza do minimum współpracownictwo ludności." Komisye jednak mają prawo zapraszać do współpracownictwa ludzi prywatnych, mogących przynieść pożytek. Ta furtka w przepisach jest ważną, gdyż fakty dowiodły, że udział inteligencyi w tego rodzaju przedsięwzięciach niejednokrotnie oddawał wielkie usługi. Studwudziestomilionowa ludność państwa, rozrzucona na przestrzeniach olbrzymich śród najróżnorodniejszych warunków, przedstawia ogrom pracy, której machineryi zawczasu nie można zbudować dokładnie, niepodobna przewidzieć jasno, gdzie i w jakich warunkach działalność wyłącznie administracyjna może być niewystarczająca.

O PRAWDĘ.

Studentki.

Szanowny Redaktorze!

Dziś dopiero otrzymałem od znajomych numer *Kuryera codziennego* z d. 26 lipca r., w którym p. J. L. pomieścił odpowiedź na mój artykuł, drukowany w nr. 23 i 24 *Prawdy*, p. t. „Wróg studentek." Polemika wprawdzie jest już bardzo spóźniona, ale sprawa wyższego wykształcenia kobiet naszych na uniwersytetach zagranicznych, nie przestaje, oczywiście, być żywotną, a w umysłach wszystkich członków naszego społeczeństwa, pomimo optymizmu na tym punkcie p. J. L., daleką jest jeszcze od zgodnego na jej korzyść rozstrzygnięcia.

Autor używa sposobu, w „erystyce," szczególnie w sofistyce, bardzo ciemnego, mianowicie przesuwa kwestyę. Z odpowiedzi jego można wnosić, jakobym o to miał do niego pretensyę, że nie pisze o studentkach tylko „bezwzględnie dobrze," że mówi o nich „bez uniesienia," a więc jakobym ruch emancypacyjny uważał i chciał przedstawić, jako słońce bez plam. Tymczasem zarzucałem mu: co do formy *a*), że kwestyę opracował niestarannie i dane ustawił chaotycznie — na co długość sześciu, a nawet sześćdziesięciu fejletonów nic nie zaradzi, gdy tymczasem „monografia" o tem ważnem zjawisku społecznem mogłaby być znacznie krótsza, a jednak treściwsza i systematyczniejsza; *b*) że o poważnej kwestyi mówił lekkomyślnie i z akompaniamentem żartów, mogących głaskać przyjemnie ucho reakcyjnego przeciwnika emancypacyi; mam bo rzeczywiście tę za konną naturę, że brak powagi w traktowaniu kwestyi niemile mię razi. Wreszcie, co najważniejsza, *c*) że się nie wypowiedział jasno *za* lub *przeciw* ruchowi kobiecemu, lecz pisał tak, że przeciwnicy jego mogli z artykułów p. J. L. czerpać dla siebie argumenty.

Pod tym ostatnim względem odpowiedź p. J. L. stanowi już znaczny postęp w stosunku do fejletonu, choć i w niej jeszcze twierdzi on, że „panien dosyć, nawet za wiele na uniwersytetach zagranicznych," co znowu wskazuje niejasność stanowiska. Tymczasem wobec nastroju społeczeństwa względem ruchu kobiecego, taka niejasność publicysty jest szkodliwą.

Od pewnego czasu studentki, „emancypantki" wogóle, stały się u nas przedmiotem coraz częstszych pocisków, nawet ze strony ludzi „pozytywnych," dawniej przynajmniej. Powieść Prusa, rażąca swą jednostronnością, list dr. Laskowskiego z Genewy, z radością powtarzany i objaśniany przez pisma reakcyjne, wywarły wpływ, wytworzyły pewną atmosferę. Czynniki te musiały osłabić nieco i w młodych dziewczętach dążności do wykształcenia wyższego, wywołać pewien sceptycyzm i zniechęcenie, oraz dodać pewności siebie i odwagi różnym rodzicom, ciociom i kumoszkom, które zaczynały już przyzwyczajać się do myśli o tem, że Zosie nie wyjdą za upatrzonych epuzerów. Nadto w tej atmosferze każdy, co przychodzi z kataryńką wymyślań lub kpin ze studentek, ma z góry zapewniony posłuch i poklask.

I w tych warunkach p. J. L., człowiek „postępowy," występuje ze swym na pozór humorystycznym aktem oskarżenia w piśmie codziennem, a więc czytanem przeważnie przez mało uświadomione, często całkiem reakcyjne żywioły — i wobec tych czytelników nie zaopatruje swej krytyki w żadne wyraźne, niedwuznaczne, ostre nawet oświadczenie, że w każdym razie jest zwolennikiem równouprawnienia!

O to mi chodzi przedewszystkiem.

Jeśli się nie chce sprowadzić wody na młyn przeciwników wstecznych, to w stosunku do kwestyi, będących przedmiotem walki, obowiązkiem każdego publicysty jest także podkreślanie stanowiska, o ile, oczywiście, jest ono jasne. Naturalnie, studentki — jak i studenci *ejusdem farinae* — nie wywiązują się z wielu obowiązków społecznych, i to można im, zarówno jak studentom, a nawet należy wytykać. Lecz każdy, kto trzeźwo patrzy na rozwój społeczny, kto pojmuje jego studya a nie ludzi się mniej lub więcej uświadomioną formułą: „wszystko albo nic" — rozumie, że sam fakt wejścia kobiet na ten stopień niedoskonałości, na którym stoją uczący się mężczyźni, jest już postępem wielkim, wprowadza do społeczeństwa duch bardzo ożywczy. Żądając tedy jeszcze więcej, dobry taktyk i pisarz, przywiązany do jakiejś idei, nie pozwoli nigdy, aby z tego skorzystali ci, którzy chcieliby i to, co jest, cofnąć, a w tym celu postawi kwestyę tak jasno i ostro, żeby go przeciwnicy za swego uważać nie mogli.

Nie uczynił tego p. J. L. w fejletonach; czyni już, choć za słabo jeszcze, w swej odpowiedzi. Ponieważ celem mojej polemiki było właśnie złagodzenie zniechęcenia interesowanych i zmniejszenie zadowolenia przeciwników równouprawnienia, które mogły być następstwem artykułów p. J. L., jak — w większym oczywiście stopniu — były wynikiem powieści Prusa i listu dr. L., więc i tę już częściową zmianę tonu p. J. L. uważać mogę za zdobycz.

Co do formy jego odpowiedzi, to wyznaję, że wiele rzeczy jest w niej dla mnie całkiem niezrozumiałych. Zdaje mi się, że p. J. L sądził, iż po za pseudonimem *K. Radosławskiego* ma innego przeciwnika przed sobą, a nie byłoby niczem dziwnem wobec dość powszechnego niesmaku i oburzenia, jakie artykuły jego wzbudziły. Aby tedy wiedział, z kim ma do czynienia, i aby wszystkim innym zostawić też wolne ręce w „drażliwej kwestyi" „zżycia się z kolonią studencką w Paryżu," oraz w innych kwestyach, niemniej może drażliwych — zdejmuję tym razem przyłbicę.

Kazimierz Krauz.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ludność ogólna Warszawy w ciągu 12 lat zwiększyła się o 31%; wynosiła bowiem w 1882 r. 382,964, a w 1893 r. 501,021.

— Ministeryum spraw wewnętrznych podwyższy etat urzędników zarządu telegraficznego i powiększy komplet pracowników na wybitniejszych stacyach telegraficznych.

— *Now. Wr.* donosi, iż jesienią w ministeryum spraw wewnętrznych opracowany będzie ostatecznie projekt ustawy miejskiej dla Królestwa Polskiego poczem oddany będzie do rewizyi Najwyżej utworzonej komisyi, pozostającej pod przewodnictwem pomocnika ministra spraw wewnętrznych. Reforma będzie wprowadzona stopniowo. Najpierw wejdzie w wykonanie ustawa miejska z r. 1892 z drobnemi zmianami, a następnie w ciągu lat trzech lub czterech będą zreformowane podatki miejskie.

— Cechy kapeluszników, pierników i szczotkarzy w Warszawie, zachwiane z powodu niedostatecznej liczby majstrów, utrzymają się nadal i rozwiną, dzięki temu, że pozwolono im dopełniać listę członków z całej gub. warszawskiej.

—Ministeryum spraw wewnetznych zajmuje się obecnie kwestyą otworzenia biur adresowych przy kancelaryach policmajstrów we wszystkich miastach Rosyi.

— Ostatecznie opracowano ustawę normalną towarzystw miejskich i ziemskich wzajemnego ubezpieczenia od ognia.

— Zarząd kol. Nadwiślańskiej upoważnił zawiadowcę stacyi warszawskiej do przyjmowania i wysyłania bezpłatnie do Nowego Dworu wszelkich ofiar w naturze dla pogorzelców.

— *Kuryer Warszawski* pisze, iż wielu włościan emigrantów z Królestwa Polskiego, otrzymawszy zajęcie w Stanach Zjednoczonych, poubezpieczało się, z przeznaczeniem sum asekuracyjnych na rzecz rodzin pozostałych w kraju. W ostatnich czasach coraz więcej nadchodzi zawiadomień o wynagrodzeniach asekuracyjnych, nie przewyższających wszakże 200 rs. Poszukiwanie odbiorców utrudnione, z powodu mylnej pisowni nazwisk i miejscowości.

Szkoły. R. b. w uniwersytecie tomskim otwarty będzie wydział fizyczno-matematyczny.

— W uniwersytecie warszawskim podania o stypendya przyjmowane będą do 27 września.

Koleje i komunikacye. Po wybudowaniu kolei wązkotorowej z Żytomierza do Berdyczowa, ci sami przedsiębiorcy pragną połączyć takąż koleją Żytomierz z Kijowem.

— R. 1896 będą otwarte nowe sieci telefoniczne, między innemi w Wilnie, Mińsku, Lublinie, Kamieńcu Podolskim, Żytomierzu (*Now. Wr.*).

— Kolej Nadwiślańska sposobem próby urządziła w pociągu pocztowym dzwonki elektryczne, dla wzywania konduktorów w razie potrzeby.

— Departament kolejowy postanowił wydać tablice najkrótszych odległości od głównych miast: Petersburga, Moskwy, Warszawy i t. d., w związku z nową taryfą pasażerską.

Posiedzenie farmaceutów. Na pierwszem zebraniu powakacyjnem członków Tow. w Warszawie oznajmiono zebranym, że projekt kasy przezorności i pomocy dla farmaceutów, opracowany przez adwokata Emila Weldta, z polecenia władzy ma być przerobiony. Ze względu, iż przy tej instytucyi istnieje kasa wsparcia, nowa nie może przekraczać granic przezorności. W dalszym ciągu obrad rozpatrywano sprawę wspólnego ubezpieczenia wszystkich aptek. Laborant chemii przy uniwersytecie warszawskim, p. Juliusz Majewski, odczytał sprawozdanie o rozwoju chemii farmaceutycznej za rok naukowy 1894/5. Kustosz Towarzystwa p. Łękawski przedstawił okazy farmakognostyczne, nadesłane przez pp. Wiorogórskiego i Biegańskiego.

Zbrodnia. W ubiegłym tygodniu za rogatką mokotowską w nocy zamordowano przemysłowca Walnera.

Wystawa ogrodnicza. Zanim zdamy sprawę z tego popisu, zaznaczamy tymczasowo, że wypadł on dość okazale, że Warszawa i jej okolice przyjęły w nim udział duży, a prowincye bardzo mały, że postęp objawił się głównie w hodowli owoców i roślin szklarniowych, słabo—w warzywach. Największą ilość i najwyższych nagród otrzymali pp.: C. Ulrich, B. Hoser, E. Jankowski, J. hr. Zamojski, W. Kronenberg, F. Szanior i inni.

Zdrowie publiczne. Z Konstantynopola telegrafują, iż w Brussie umiera na cholerę przeciętnie 40 osób dziennie.

— Wkrótce przy szpitalu w Częstochowie otwarty będzie oddział chirurgiczny, który obejmie lekarz Władysław Wrześniowski.

— Z powodu przepełnienia szpitali w Tworkach i Jana Bożego w Warszawie, postanowiono przenieść część chorych do Góry Kalwaryi.

— Według urzędowych doniesień z Galicyi, cholera panuje w pow. brodzkim i rohatyńskim.

— W Hull (Anglia) stwierdzono cholerę.

— W Chinach cholera doszła strasznych rozmiarów. W Pekinie umiera dziennie do 2,000, w Szanghaju do 500 osób.

— W Petersburgu powstaje Towarzystwo lekarzy welocypedystów, z celem przekonywania ogółu, że umiarkowana jazda jest wielce zbawienną dla zdrowia. Natomiast stowarzyszenie to będzie działać przeciwko wyścigom, niemającym żadnego celu po za reklamą.

Wypadki. W Japonii straszny huragan zniszczył miasto portowe Tuchinostu. Zatonęło 36 statków z ludźmi. W prowincyi Sifu woda zalała przeszło 600 wsi. Dwieście osób zginęło.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. War. w Paryżu. O ile wiemy, jest to dopiero projekt.

Prenumeratorce z Mokotowskiej. Względnie najlepsza była dwutomowa *Hist. l. p.* Scherra, ale wyczerpana — może ją Pani znajdzie w jakiej antykwarni. Obecnie wychodzi — może bardziej pouczający, niż ogólnikowe określenia — „Obraz literatury powsz. w streszczeniach i przekładach,“ zeszytami, nakładem księgarni Paprockiego.

A. B. C. Utwór Pani nadaje się tylko do pisma dla dzieci. Czytelnik dojrzały nie znalazłby w nim ani dość myśli, ani dość zajmującego wątku, ani dość artyzmu.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Сентября 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.